BIBLIOTEKA INSTYTUTU MATEMATYCZNEGO W GDAŃSKU
Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

Cena zł 20.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 24 lipiec 1949 r. | Nr 29 (191)

Zygmunt Lichniak

TRASA WIARY I ZAPAŁU

Pamiętam pierwszą zimę po wyzwoleniu Warszawy, pierwsze spacery Marszałkowską, zawaloną gruzami, pierwszą wędrówkę Nowym Światem, który był przeraźliwie, nie do poznania nowy wśród poczerniałych zgliszcz... Pamiętam pierwsze wyprawy do Starego Miasta, gdzie szukało się napróżno domów i ulic... Pierwszą budkę z papierosami, w której można było dostać i herbatę i chleb z kiełbasą i nowe skarpetki... Pierwszą furę naładowaną gratami ludzi, którzy wracali „na stare śmiecie".

Pamiętam także tamten okrutny, nagły, dotkliwy żal, który napadał pośród jakiegoś osmalonego cmentarzyska kominów, czy przed potwornym szkieletem „Prudentialu" i uciskał w gardle bólem bezradnych pytań. Boże, kiedy to wszystko się zmieni? Kiedy Marszałkowska wystrzeli z zieleni Saskiego Ogrodu i dobiegnie bez przeszkód do cokołu Lotnika? Kiedy nad tym rumowiskiem niebo roztańczy się neonami? Kiedy ludzie znów zaczną się kłócić w zapchanych tramwajach, kupować pączki u Gajewskiego, kiedy znów zaczną się tłoczyć do kin?

Pamiętam beznadziejność tych pytań. Coś odpowiadało w człowieku, że chyba nigdy, że to niemożliwe, że to nad siły, a jednocześnie narastał radosny sprzeciw: będzie, wszystko będzie, musi być! — Ale kiedy?

Tamtej zimy trudno było uwierzyć w jakiś bliski termin. Schylało się smutnie głowę...

A TERAZ...

A teraz, kiedy głowę podnoszę i patrzę w słoneczne rozmigotanie lipcowego popołudnia, biegnie przede mną gładka wstęga trasy i przeskakując mostem Śląsko-Dąbrowskim na praski brzeg wielkiej Warszawy, rozwija się coraz dalej i dalej, aż ku ulicom Targówka, gdzie supeł przejazdu wiąże ją z Szosą Radzymińską.

Stojąc na schodach wiodących z Placu Zamkowego do nowopowstałej kolonii mariensztadtskiej, spojrzeniem, które wróciło z radosnej wędrówki, ogarniam sprawy najbliższe, chwytam drgnienia młotków, posuwisty ruch pędzli, kolebliwy zamach kielni, ale w zwykłym, systematycznym rejestrowaniu faktów i wrażeń przeszkadza słońce, przeszkadza Wisła, przeszkadza prężna, zachłanna radość.

Po czterech latach obserwowania odbudowy Warszawy zwiedzam trasę W—Z! Już ją kończą. Już polewają trawniki, opryskują drzewka, malują przystanki, przecierają szkła lamp, „zapinają na ostatni guzik". Cztery lata! Widziało się przez te lata ruch. Czuło się szybszy rytm, zwiększone tempo wzrastania Nowego Światu, rywalizację Marszałkowskiej z Alejami, Żoliborza z Mokotowem. Ale tu dopiero, na trasie W—Z, chociaż się nie jest reporterem, postanawia się pisać reportaż z nastrojowym wstępem, pełen radosnych cyfr, pełen refleksji i pozornie tylko dygresyjnych uwag, reportaż poetycki, dyletancki, ale prawdziwy, reportaż szczery i pełen lipcowego słońca, reportaż — w moim tego słowa rozumieniu — polityczny.

ZAMIAST AKTUALIÓW

Wybaczcie, że nie będę opisywał, jak wyglądają kafelki w tunelu, wybaczcie, że nie podam pikantnych szczegółów o ustawianiu kolumny Zygmunta. Detale te każdy za kilka dni obejrzy sam, lub dowie się o nich z pism codziennych. Gdy słowa te linotyp przeleje w ołowiane czcionki, nastąpi już uroczyste otwarcie trasy W—Z, gdy reportaż dotrze do rąk czytelników, już tłumy przechodniów będą radośnie wędrowały przez nowy most. Wszelkie reportażowe aktualia tracą w ten sposób swój sens. Żyjemy w czasach kiedy robotnicy szybciej biją rekordy pracy, niż linotypy artykuły o tych rekordach.

Lepiej chyba będzie, jeśli, zamiast podawać spóźnione informacje „z ostatniej chwili", przerzucimy kilka kart historii budowy naszej nowej trasy.

Historia to jeszcze świeża, jak farba ledwo wysychająca na poręczach nowych konstrukcji mostowych, jak trawa zarastająca skwery po obu stronach jezdni.

Historia to bardzo krótka, bo dwa zaledwie lata obejmująca, ale pełna takiej intensywności, takiej ambicji w zwalczaniu przeszkód i takiej wiary w realizację wytkniętego śmiało celu, że staje się najgłębszym i najlepszym środkiem do poznania istotnych wartości wspaniałego zbiorowego wysiłku.

Przerzucając karty tej młodej historii musimy pamiętać — i będziemy to zawsze przypominać — o jej zasadniczym morale: **tworzy ją dążący do pełnego rozwoju człowiek dla dążących do pełnego rozwoju ludzi.**

TROCHĘ HISTORII

Dnia 4 lipca 1947 roku gotowy projekt trasy W—Z przedstawiono do zatwierdzenia Naczelnej Radzie Odbudowy Warszawy. Pierwsze wiadomości o projekcie, jakie przedostały się do wiadomości publicznej nie wzbudziły specjalnego zainteresowania, ani entuzjazmu. Rozmiar planów onieśmielał. Sceptycy kiwali głowami, złośliwcy pukali się wymownie w czoło, bęcwalizujące besserwissery milczały wyniośle. Garstka zapalonych urbanistów musiała mobilizować opinię społeczną, dynamizować potencjał dobrej wiary szerokich mas. W specjalnym, poświęconym trasie W—Z numerze „Stolicy" (z dnia 22 lipca 1947 roku) inż.-arch. Józef Sygalin, zastępca kierownika BOS-u i jeden z współtwórców projektu pisał:

...Jest niezwykle ważne dla losów i tempa dalszych prac nad odbudową Warszawy wyrobienie przeświadczenia w każdym mieszkańcu Warszawy, w każdym pracowniku odbudowy, że potrafimy nie tylko prowadząc remonty i drobne budowy wskrzesić życie swojego miasta, ale że potrafimy realizować rzeczy wielkie na miarę zniszczeń tragicznych, na miarę polskiego rozmachu w odbudowie. Budowa Trasy „Wschód—Zachód" postawi zagadnienie rekonstrukcji Warszawy od razu na właściwej płaszczyźnie [illegible] skali nada tej rekonstrukcji należne tempo i należne oblicze urbanistyczne.

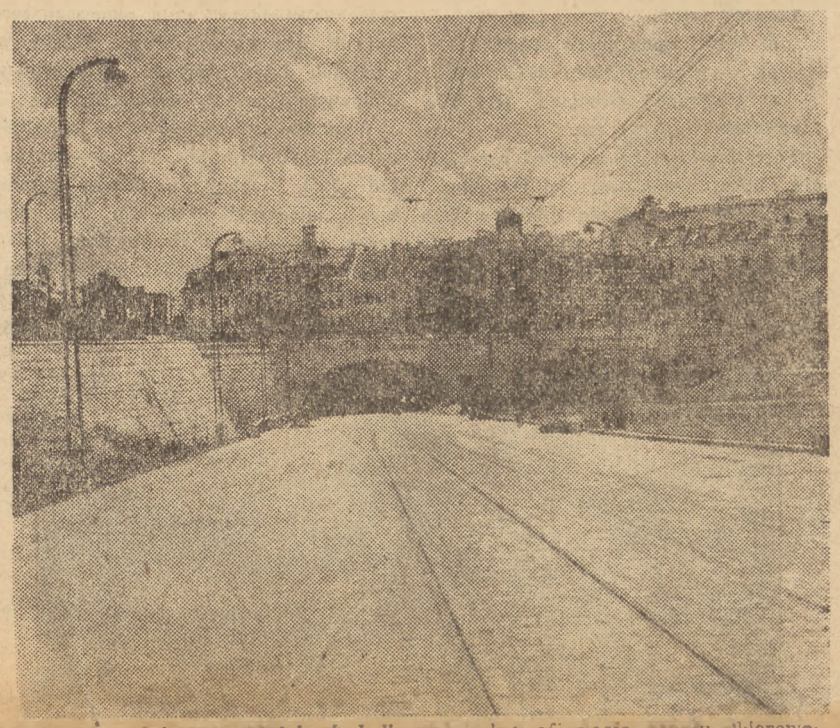

Sześć miesięcy później 24 stycznia 1948 roku Naczelna Rada Odbudowy Warszawy zatwierdziła przedłożony jej projekt. Już przedtem, w połowie listopada 1947 r. zaczęto pracę. Pracę nad dziełem większym, niż przypuszczali urbaniści-projektodawcy. Pracę nie tylko nad uruchomieniem nowej arterii komunikacyjnej w stolicy. Pracę nad utrwaleniem wiary w stabilizację warunków, wiary w odradzające się siły gospodarcze kraju, pracę [illegible] pełną afirmacji [illegible] zbiorowego dla śmiałych i twórczych planów.

PIERWSZY ETAP

Od samego początku nie szczędzono trudów. Aby przez odradzającą się Warszawę mogła przebiec gładka wstęga, łącząca Wolę z Targówkiem, aby przystąpić do prac nad tunelem, mającym przebiegać pod Krakowskim Przedmieściem, Senatorską i Miodową, trzeba było rozebrać i usunąć ruiny domów, zburzyć potężny Wiadukt Pancera, wykonać setki robót wstępnych.

Kiedy po siedmiu miesiącach początkowej harówki sumowano jej bilans, już na wargach ukazywał się uśmiech, zapowiadający radość przyszłych osiągnięć, już patrzące w przyszłość oczy kreśliły spojrzeniem nowy, strzelisty szlak. Meldunek z 1 lipca 1948 roku był meldunkiem o rozpoczęciu zwycięskiej ofensywy.

a) Rozebrano resztki domów włącznie z wywiezieniem gruzu w kwartale Miodowa, Kapucyńska, Hipoteczna, Miodowa.

b) Wykonano w rekordowym czasie, od dn. 1.II.48 r. do dn. 1.III.48 r. rozbiórkę Wiaduktu Pancera włącznie z wywiezieniem gruzu o ogólnej kubaturze 7072 m3.

c) Dokonano rozbiórki resztek b. pałacu Teppera przy ul. Miodowej i domów nad tunelem między ul. Krak. Przedm. i Senatorską (ogólna kubatura ok. 17000 m3).

d) Wykonano t. zw. I etap robót ziemnych na odcinku tunelu tj. wykop o głębokości 4,5 — 6,0 mtr. i szerokości w koronie dolnej 23 mtr. i górnej 31 — 35 mtr.

e) Wykonano głębokie wykopy szalowane pod przyczółki żelbetonowe tunelu, przy czym betonowanie konstrukcji żelbetonowej rozpoczęto w dn. 22 czerwca 1948 r. w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ob. Bolesława Bieruta.

f) Wykonano w poważnej części wykop od wylotu tunelu do ul. Hipotecznej.

Wytyczne

Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 22 lipca 1949 r. jest podstawowym aktem prawnym i politycznym Polski współczesnej. Jest on zarazem deklaracją ideowo-polityczną nowych rewolucyjnych sił, rządzących obecnie Państwem Polskim. Dzień ogłoszenia Manifestu 22 lipca jest świętem państwowym.

Osiągnięcia rządu i Państwa Polskiego w okresie ostatnich pięciu lat mają dwie podstawy:

— Polska w oparciu o sojusz ze wschodnim sąsiadem posiada określoną pozycję międzynarodową, która pozwoliła jej uzyskać i pozwala utrzymać zachodnie ziemie do Odry i Nysy.

— Tworzony stale nowy model gospodarki narodowej w oparciu o przeprowadzone reformy społeczne pozwala na imponującą odbudowę i rozbudowę kraju.

Bezpośrednimi twórcami rzeczywistości polskiej są ludzie, wyznający przeciwny naszemu materialistyczny pogląd na świat. Nasze uznanie dla ich osiągnięć w odbudowie kraju i życiu gospodarczym wynika z przekonania, że każde trwałe osiągnięcie gospodarcze jest dobrem człowieka. Nie ma to nic wspólnego z uleganiem wpływom materializmu, który zajmuje się jedynie porządkiem doczesnym przyrodzonym. Nie ulegamy mitowi produkcjonizmu jako celowi samoistnemu. Poglądu takiego nie wyznają zresztą także materialiści. Widzimy natomiast tę wielką szansę, jaką daje człowiekowi socjalistyczny rozwój gospodarczy, dobrobyt i niezależność ekonomiczna. Mamy przede wszystkim na uwadze wszechstronny, wolny rozwój doskonalącej się osobowości ludzkiej i jemu podporządkowujemy wszystkie cele gospodarcze i w ogóle doczesne. Ale widzimy jednocześnie całe nasze zacofanie gospodarcze i cywilizacyjne, ogrom zniszczeń wojennych i cieszymy się, widząc w ideologii rządzących Polską marksistów tendencję wywyższenia pracy, ambicję tworzenia ciągłego postępu gospodarczego, szlachetną chęć odbudowy i rozbudowy kraju. To są zdrowe treści ideowe, których realizacja właśnie może stworzyć odpowiednie warunki dla rozwoju doskonalącej się osobowości ludzkiej.

I o tych rzeczach, o osiągnięciach gospodarczych i odbudowie mówić będziemy stale i propagować je musimy, choć w dziedzinie filozofii różnimy się z marksistami, choć ma to swoje skutki w poglądach na sprawy wychowania i kultury.

g) Prowadzono odbudowę dzielnicy Mariensztadt w której na ukończeniu jest t. zw. I seria tj. domy na odcinku od ul. Dobrej do ul. Sowiej w kierunku skarpy o ogólnej kubaturze 12.500 m3 jest już poważnie zaawansowana (wyciągane są mury II piętra). Budowę III serii na wschodniej i zachodniej stronie Rynku Mariensztadtckiego oraz przy ul. Dobrej 87 o łącznej kubaturze 13.000 m3 już rozpoczęto.

h) Przystąpiono do odgruzowania nowo budowanego odcinka trasy od ul. Żelaznej do Pl. Kercelego.

i) Przystąpiono do budowy wiaduktu na Rynku Mariensztadtckim.

Spokojniej inżynierskie ręce odmierzały wykresy, pewniej robotnicze dłonie chwytały stylisko łopaty czy oskarda. Tłumaczono suche raporty na język radosnych obliczeń. W ciągu siedmiu miesięcy —

a) Rozebrano murów 95.000 m3.

b) Uzyskano cegły z rozbiórki 1.600.000 sztuk.

c) Wywieziono gruzu 253.000 m3.

d) Wywieziono ziemi 86.000 m3.

e) Wykonano głębokich wykopów szalowanych 5.500 m3.

Potrzebna jest człowiekowi satysfakcja obserwowania wartości i wielkości swego wkładu w dzieło zbiorowe. Ona — między innymi — zbliża pracę do jedynego, do właściwego jej rozumienia: przeradza ją w twórczość. Tłumaczyli więc twórcy trasy W—Z swoje siedmiomiesięczne osiągnięcia na język coraz plastyczniejszych zestawień. Ilość usuniętego gruzu i ziemi stanowiła wtedy — krzep się, człowieku, który w każdej pracy powinieneś być twórcą! — w przybliżeniu 28.900 wagonów. Gdyby te wagony ustawiono w linii prostej stworzyłyby pociąg tak długi, jak droga między Warszawą i Gdańskiem.

A przecież to tylko komunikat z zachodniego odcinka budowy. Na wschodnim także pracowano całą parą. Odrobiono już 25% ogólnej roboty.

W tym rachunku kryły się jednak oprócz cyfr, roześmianych optymizmem, cyfry pełne troski. Czy — zgodnie z zobowiązaniami — trasa W—Z zostanie ukończona na 22 lipca 1949 roku? Wiele jeszcze zostało:

1. Rozebrać i wywieźć — około 97.000 m3 murów i gruzu.

2. Wybudować 57.000 m3 nowej kubatury (Mariensztadt).

3. Wykonać robót ziemnych (wykopów i nasypów) — 223.000 m3.

4. Zmontować 5.353 ton stalowej konstrukcji mostu.

5. Wybudować 16.000 m3 betonowej i żelbetowej konstrukcji tunelu.

6. Wybudować 3.750 m3 żelbetowych wiaduktów nad Wisłostradą i Mariensztadtem.

7. Wybudować w betonie i żelbecie 3.800 m3 ścian oporowych i schodów.

8. Ułożyć nawierzchni ulic (jezdnie i chodniki) 213.000 m2.

DRUGI ETAP

Zwiększono tempo pracy. Wzmógł się wysiłek mięśni, wzrosła rzutkość myśli. Usprawnić, udoskonalić, przyśpieszyć! Wzrastała samorodna twórczość wynalazców-robotników. Nie wynajdowali prochu i maszyn parowych. Po prostu: lepszą pozycję przy obrabianiu materiału, właściwszy układ narzędzi, sprawniejszy system pomocy.

Spóźnieni przechodnie patrzyli z „pontoniaka" na rosnącą konstrukcję mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Jasne snopy iskier spod aparatu spawaczy tryskały oślepiającą bielą i tonęły w Wiśle słonecznej i w Wiśle księżycowej.

Nie twórzmy jednak legendy o pracy bez wytchnienia, kiedy możemy mówić spokojnie i szczerze o pracy intensywnej, planowej i twórczej. Przerywał robotnik harówkę na „skręta", w niedzielę patrzył na rosnący czyn, w przerwie obiadowej dnia roboczego zerkał na arkusze wykresów. Liczby w ostatnich dniach przed zakończeniem budowy napęczniały dumą.

Wybudowano całe osiedle mieszkalne na Mariensztadcie, odbudowano pałac „Pod Blachą", zabytkowe kamieniczki między Krakowskim Przedmieściem, Miodową i Senatorską, pałac Sołtyka na Senatorskiej, pałac biskupów krakowskich na Miodowej i pałac Radziwiłłów na ulicy Bielańskiej. Ogółem 53 budynki. Wywieziono ponad 450.000 m3 gruzu, wykonano 72.000 m3 robót betonowych, położono 162.000 m2 nawierzchni, przerzucono nad Wisłą most Śląsko-Dąbrowski długości 476 m, wykończono tunel długości 192 m. Praca na finiszu przybrała szalone tempo. Ludzi dopingowała ambicja, świadomość wielkości dokonywanej pracy. Roboty nad całą długością trasy, wynoszącą 6.760 m, dobiegają końca.

Dnia 22 lipca 1949 roku zostanie przecięta wstęga.

Wiele poniesiono trudów, wielu trzeba było wyrzeczeń. Nie upraszczajmy sprawy. Na pewno nie jedna skarga, nie jeden wysiłek nad miarę złożony został w ofierze powstającemu dziełu. Nie chodzi tutaj o malkontenckie przyczynki, lecz o wyzbycie się ciążących na większości wypowiedzi publicystycznych ojra — entuzjazmu. Entuzjazm to co innego.

SENS OBLICZEŃ

Nie narzekaj na mnogość liczb. Zważ ciężar cegły w dłoni. Przenieść kilka kamieni w miękkich, wrażliwych palcach, odczuj chropowatość ostrych kantów na zdartym naskórku, poznaj wagę pełnej gruzu łopaty, twarde stylisko oskarda...

Pochyl się nad planem, nad szkicem pokreślonym czerwonym ołówkiem, nad pozorną gmatwaniną setek linii, dowiedz

się od inżynierów o ich sporach, debatach, dyskusjach...

Zrozumiesz sens tych obliczeń.

Każda cegła, z których urosły domy, była w ręku człowieka, człowiek ją dopasował, spoił cementem, sprawdził pionem. Każda gruda gruzu napinała mięśnie robotników. Każda linia planów natężała myśli inżynierów, każdy łuk szkicu, każda elipsa najmniejszego rysunku przebiegała drogą czujnie strzeżoną rozumem i głębokim poczuciem odpowiedzialności.

Dłoń człowieka. Rozum człowieka.

Oto chodzi, aby dzieło ludzkie nie stało się czymś pozaludzkim, aby — powtarzamy to znowu — z człowieka zrodzone dla człowieka trwało, dla jego jak najpełniejszego, jak najdoskonalszego rozwoju.

To nie są ogólnikowe frazesy, ani ucieczka w jakiś apolityczny humanizm. To polityka humanizmu dyktuje takie przypomnienie.

SMUTNE SPOTKANIA

Rozmyślając o tej polityce, wracałem na Plac Zamkowy gdy spotkał mnie w drodze August Bęc-Walski. Nazywał się Włodzimierz i nazwisko miał inne, ale w dalszym ciągu słuchał przede wszystkim „bi-bi-si" albo „bum-bum-bum", a w zimie, gdy Rosjanie wyrąbywali lód z Wisły dla jakichś celów, skarżył się, że naszą piękną rzekę na Syberię wywożą. Teraz już zdążył obliczyć i zmierzyć, że kolumna Zygmunta niższa jest niż przed wojną. — Symptomatyczne! Jakiejś pół metra! Rozumie pan?

Oczywiście, rozumiałem. Jezdnia za tunelem też była kiepska. Już się zaczynała rozłazić. Pan August-Włodzimierz wytarł z odrazą o chodnik rozgrzaną smołę z obcasów i odszedł w swoje beznadziejne jutro.

Zaraz po nim napatoczył się młody „lewicowy" poeta. Podskakiewicz demokracji. Wydał coś, ale chociaż po wydaniu zapraszał mnie na wódkę, nie nabrałem ochoty na lekturę jego tomiku, bo nie mam zaufania do poezji kretynów. Znam zresztą innych, bardziej interesujących lewicowców.

Podskakiewicz plótł coś z entuzjazmem o herosach pracy i nimbie chwały, który widzi nad głową schylonego właśnie nad dłutem kamieniarza. Usiłowałem mu tłumaczyć, że droga do wielkości, to nie droga mitologizacji i pośpiesznego brązownictwa. Wskazywałem mu niebezpieczeństwa pośpiesznych uproszczeń, chciałem odwieść od metnego hiperbolizowania, ale młodzian plótł jak najęty. Odszedł wreszcie ze swoją rozczochraną poezją i czupryną, a kamieniarz w zniszczonym berecie na głowie pracował dalej, aby na żadnej z przyszłych tras żaden z przyszłych entuzjastów nie spotykał bęcwalskich i podskakiewiczów.

PERSPEKTYWA

Koło „grubej Kaśki" otwiera się ładna perspektywa nowo zbudowanej trasy. Tam spotkałem jeszcze jednego znajomego. Oczy śmiały mu się tą samą, co moje, radością. Też nie mógł się nacieszyć jasną strzałą mostu, świeżą zielenią trawników, gwarem pracy, rozmachem, tempem, właśnie — perspektywą. Przychodzi tu prawie codziennie, zawsze, gdy jest zmęczony lub przygnębiony. Odpoczywa. Znajduje radość. Ale nie tę bezkrytyczną i płytką, nie gazeciarską i zachłystującą się patosem wielkich tytułów. Nie bredzi o tytanizmach, czy heroizmach. Ustala właściwe proporcje zjawiska. Mówi o nim spokojnie, z zapałem, ale bez afektacji.

Wokół trasy W—Z narasta fałszywa legenda gigantyczności jakiegoś na bezwzględną, ogólnoeuropejską czy nawet ogólnoświatową skalę zakrojonego dzieła. Błąd. Trasa W—Z w normalnym, obiektywnym układzie warunków politycznych czy stosunków gospodarczych nie jest niczym, co mogłoby osiągnięciom urbanistyki wschodniej lub zachodniej imponować. Jest po prostu jedną z większych inwestycji stolicy kraju średniej wielkości. Nie jest ani zjawiskiem bez precedensu, ani ewenementem niezwykłej skali. Nie fałszujmy proporcji obiektywnie sprawdzalnych, bo nie ma ku temu żadnej potrzeby. Wielkość dzieła trasy W—Z ukaże się w innym aspekcie. W aspekcie ogólno-europejskim jest jednym ze zjawisk normalnych, przeciętnych. Nawet w skali krajowej podobny pod tym względem sukces odnieśli budowniczowie pierwszego mostu Poniatowskiego, którzy przeszło ćwierć wieku temu przerzucili przez Wisłę potężną konstrukcję z żelazo-betonu.

Dopiero, gdy się zważy specyficzność naszych wewnętrznych warunków gospodarczo-politycznych, występują specyficzne cechy osiągnięcia powojennego. Cechy te, rzeczywiście, podnoszą jego wartość emocjonalną. Oto kraj który pięć lat temu dopiero dźwignął się z wojennego zniszczenia, podejmuje jeden ze śmielszych projektów urbanistycznych i wykonywa go w ciągu dwudziestu miesięcy intensywnej, wytężonej pracy. Pracę tę finansowało w większej części społeczeństwo. Na budowę trasy W—Z Naczelna Rada Odbudowy Warszawy przeznaczyła z funduszów S. F. O. S. 1600 mil. zł. Podkreślamy: z funduszów społecznych.

Wiara w przyszłość prostych i jasnych dróg była wielka, olbrzymi był zapał tworzenia jaśniejszych, lepszych dni. I skala tej wiary i tego zapału, skala wielkich wysiłków i wielkich nadziei jest skalą, w jakiej mamy prawo ujmować i przedstawiać całokształt zjawiska.

Im spokojniej, im rozsądniej, im w szczerszy, prawdziwszy i głębszy sposób będziemy się nim zachwycali, tym wyraźniej uchwycimy wymowę jego symboliki.

SYMBOLIKA

Nie jest rzeczą przypadku, że śpieszono z ukończeniem trasy na dzień piątej rocznicy Manifestu Lipcowego. Trasa W—Z jest symbolem realizacji zapowiedzianej wtedy socjalistycznej odbudowy i przebudowy kraju. Patrzymy na nią z Placu Zamkowego radośnie i ufnie, choć nie bezkrytycznie i nie zaślepieni. Chcemy mieć i mamy w niej swój konkretny udział. Będziemy dążyli do jego powiększenia dla dobra jak największej ilości ludzi, dla dobra państwa, dla dobra ideologii, którą wyznajemy.

Widzimy wiele symbolów. Widzimy posąg przekupki Mariensztadtskiej, widzimy odbudowę kaplicy Ładysława z Gielniowa, stanowiącej część kościoła św. Anny, widzimy ruchome schody i tunel. Konkrety wytężonej ludzkiej pracy, symbole dni, które idą.

Wychodzimy tym dniom naprzeciw, drogą jasną, prostą, bez nagłych zakrętów. Nie wierzymy w nieomylność projektów i poczynań ludzkich, wiemy, że niejedno w nich przyszłość każe zmienić. Uznajemy prawo błędu i prawo korekty. Z robotnika kującego w kamieniu nie czynimy półboga i herosa, czujemy się ludźmi, braćmi jednej, większej niż trasa W—Z, sprawy.

A myśląc o arterii, która połączyła mocną więzią kilka dzielnic Warszawy, myślimy o niej, jak i o sprawach jej podobnych, niemal modlitwą.

Niech służy ludziom radosnego życia, radosnej twórczej pracy. Niech będzie drogą ludzi zawsze wolnych i szczęśliwych. Niech będzie trasą wiary w człowieka, trasą zapału w pracy nad człowiekiem, nad jego pełnym, doskonałym rozwojem.

Zygmunt Lichniak

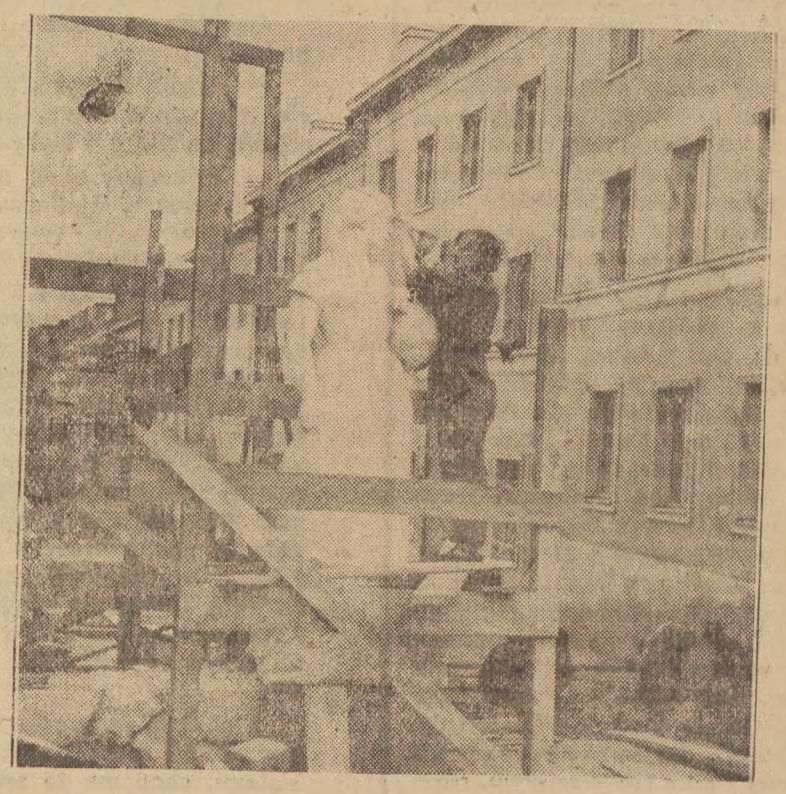

Sprawozdanie z prasy katolickiej

Rok 1949 jest dla rzymskiego tygodnika **Civilta Catolica** rokiem jubileuszowym, tej wiosny obchodził on 100-lecie istnienia. Pismo, redagowane przez oo. Jezuitów, powstało bowiem w kwietniu 1849 r.

Już kilka lat wcześniej Jezuici włoscy dyskutowali projekt poświęcenia grona ludzi ze Stowarzyszenia Jezusowego publicystyce społecznej.

Z najszerszymi pod tym względem planami nosił się o. Vasco. Chodziło mu o powstanie dziennika międzynarodowego, który by miał za zadanie dyskutowanie najbardziej żywotnych zagadnień społecznych.

Skromniejsze były plany o. Curci, polegały one na założeniu dwutygodnika w języku narodowym — włoskim, dla propagowania w kołach wykształconych, katolickich dokttryn społecznych.

Zbliżone, choć mniej dokładnie określone projekty żywił o. Taparelli. We wrześniu 1847 r. porozumiewał się on w tym celu z gronem liberałów włoskich m. in. z Minghetti'm, Silvano i Pantaleoni'm, dla znalezienia punktów stycznych. Został wtedy wysunięty projekt założenia przez oo. Jezuitów czasopisma, któreby dawało wyraz tendencjom postępowym i liberalnym papieża Piusa IX. O. Taparelli taką propozycję przyjął.

Wydarzenia r. 1848 te plany na razie pokrzyżowały. Powrócił do nich jednak rychło Generał Stowarzyszenia Jezusowego O. Roothaan, wyszukał on człowieka przedsiębiorczego i dynamicznego, zdolnego przezwyciężać liczne trudności „czasów wyjątkowych". Był to właśnie o. Curci.

Istotnie z miejsca spotkano się z silnym sprzeciwem wobec politycznego charakteru takiej działalności i to zarówno z wewnątrz, jak z zewnątrz. Wewnętrzną „opozycję" uosobił wikarjusz o. Generała o. Cambi. To samo stanowisko zajął triumvirat kardynałów rządzący w zastępstwie Ojca św. przebywającego jeszcze w Portici. Lecz zorganizowanie jezuickiej publicystyki opiniodawczej leżało właśnie w planach Piusa IX. Po wstawiennictwie kardynała Antonelli, do którego zwrócił się o. Curci z decyzji papieskiej powstało czasopismo Civilta Catolica (Społeczność Katolicka).

Pierwszy zespół redakcyjny utworzył się w Neapolu, składał się on oprócz o. Curci z oo. Bresciani z Rzymu, Taparelli z Palermo, Oreglia di San tSefano, odwołanego ze studiów w Laval we Francji, Pianizani z Ameryki, Liberatore i Picirillo z Neapolu.

O. Curci był polemistą zręcznym, żywym, błyskotliwym. O. Taparelli, spokojniejszy i głębszy był zapewne skuteczniejszy w działaniu dzięki logice ścisłej, argumentacji bez zarzutu. O. Liberatore był autorem dzieł z dziedziny antropologii, filozofii i o analizach świadomości ludzkiej, a także o stosunku Kościoła i Państwa, które do dziś dnia warte są przeczytania. O. Bresciani był cenionym powieściopisarzem i Civilta Catolica zawdzięczała mu w dużym stopniu swejo powodzenie. O. Fnatoni prowadził kronikę współczesną. Z temi nazwiskami związany jest los pisma.

Grupa redagująca była od początku autonomiczną, z własnym przełożonym, którym został wtedy o. Bresciani. Byli i są do tej pory solidarnie odpowiedzialni za tekst. Pracują zespołowo ustalając sprawy redakcyjne podczas konferencji tygodniowych.

Civilta Catolica powstała właśnie w momencie, kiedy załamywały się częściowo nadzieje związane z Wiosną Ludów, zaczynała się szerzyć monarchiczna reakcja. Kościół stał się przedmiotem ataków, zarówno monarchistów, którzy chcieli wyzyskać go dla własnych celów, jak politycznej lewicy o silnie antyklerykalnym zabarwieniu. Ataki te stały się jednak swego rodzaju reklamą. Katolicy, w poszukiwaniu pionu i wytycznych skupiali się naokoło Papieża. Pius IX był postacią wybitną i cieszył się dużą osobistą popularnością.

Platformą wybraną od początku dla obrony pozycji katolickich były postulaty społeczne Kościoła. Program wyłożony w pierwszym numerze zapowiadał „pilne, regularne i logicznie powiązane szerzenie katolickich doktryn społecznych". W sprawach zasadniczych nie było później odchylenia od tego programu pierwszego zespołu redakcyjnego.

„Społeczność katolicka" (Civiltà Catolica), pisali oni wtedy, nie byłaby katolicką, gdyby nie była powszechną, gdyby nie dała się pogodzić z jakąkolwiek formą rządów, byleby one były legalne w swej istocie i sprawiedliwe w działaniu."

Rerum Novarum

W ostatnich latach życia o. Taparelli uczniem i prawą ręką jego był o. Stecanella. Razem współpracowali w wytwarzaniu warunków i atmosfery w których powstała encyklika Rerum Novarum, której zasady o. Stecanelle wykładał potem przez lat wiele.

Walka z absolutyzmem

Jeżeli ze strony Piemontu nieraz zdarzały się ataki na Civiltà Catolica z zarzutami o konserwatyzm, to znacznie silniej i gwałtowniej atakowali pismo Burbonowie w samym Neapolu. Toteż w r. 1850 przeniosło się ono do Rzymu, uciekając przed cenzurą Ferdynanda II, któremu tak Curci jak Taparelli byli podejrzani, pierwszy ponieważ zaaprobował uchwały sycylijskie z 48 r., drugi z powodu swoich bliskich stosunków z Giobertim, jednym ze współtwórców zjednoczenia Włoch.

***

Odrodzenie Scholastyki

Pius XI uznał szczególnie stały i konsekwentny udział zespołu redakcji w szerzeniu doktryny filozoficznej św. Tomasza. Wyjątkowe zasługi położył na tym polu o. Roothaan, który już od 1825 r. stał na stanowisku doktryny tomistycznej. Stanowisko to podzielała cała redakcja Kierunek ten, potwierdził tylko Leon XIII, kiedy w swym **breve** z 8 lipca 1890 r. zobowiązał do zachowania tej samej linii.

Sobór Watykański

Pod koniec swego pierwszego dwudziestolecia „Civilta Catolica" wzięła żywy udział w przygotowaniach do Soboru Watykańskiego wyznaczonego, wraz z ogłoszeniem Encykliki Aeterni Patris na dzień święta Niepokalanego Poczęcia, 8 grudnia 1868 r. Przedstawiciele opozycji przeciwko dogmatowi Nieomylności Papieża mgr Dupanloup w „Le Francais" i mgr Dillinger w „Allgemeine Zeitung" prowadzili z Civilta Catolica ostrą polemikę. Zrobiono wtedy pismu zarzut, że to ono rozpętało przedwczesną dyskusję w sprawie nowego dogmatu. Civilta zniosła ataki spokojnie, nie wyjawiając że inicjatorem dyskusji był sam kardynał Antonelli.

Walka z faszyzmem

Kiedy po pięćdziesięciu latach absolutyzm we Włoszech odżył w formie niemniej bezwzględnej niż za Burbonów redakcja Civilta Catolica zwracając się przeciw faszyzmowi, nie potrzebowała ustąpić z żadneq ze swych zasad, nie popadła w żadną sprzeczność ze swą przeszłością, wzmocniła tylko swe postulaty co do krytyki i doktryn społecznych, przeciwstawiając je mglistej ideologii opartej na kulcie siły, na bałwochwalstwie narodu i rasy.

***

Civilta Catolica jest dziś, jak stwierdza redakcja w numerze jubileuszowym, tą samą od 100 lat instytucją, całkowicie oddaną sprawom Kościoła, z tym samym programem apostolatu szerzenia prawdy i zwalczania błędów.

***

Rok bieżący

Numer z 18 czerwca br. zawiera ciekawy artykuł o. M. Flicka T. J. pod tytułem Nadzieje Kościoła. Celem artykułu jest określenie granic optymizmu i pesymizmu dopuszczalnych w katolickim światopoglądzie.

Skrajny optymizm, liczenie na nadejście „złotych czasów", nastawianie się wyłącznie na nowe przyjście Mesyasza, na doczesną szczęśliwość sprawiedliwych, na t. zw. milenium, czyli tysiąclecie jest błędem pochodzenia hebrajskiego. Takie wnioski wyciągnęli swego czasu Żydzi z nauki Proroków. Chrystus Pan zwalczał polityczny mesjanizm, pogląd, któremu ulegali nawet apostołowie, aż do zesłania Ducha św. T. zw. styl proroczy bywał nieraz dwuznaczny i dawał pole do nieporozumień. Stylem tym pisane były apokalipsy, których naród Izraelski w epoce swego upadku wydał olbrzymią ilość i które w tym czasie (II-gi wiek po Chr.) czytywane były nieomal jak obecnie powieści. Były one pisane ku podniesieniu ducha, ukazania lepszej przyszłości, którą umieszczały zazwyczaj pod koniec istnienia świata, po tysiącu latach, zapowiadając nieraz drugie tysiąclecie szczęśliwości ziemskiej. Opis, zatem, mógł być tylko wizyjny, stąd nazwa apokalipsa, czyli objawienie. Apokalipsy uchodziły nieraz za dzieło Proroków.

Ostatnia księga Nowego Testamentu nosi również nazwę Apokalipsy. Różni się ona jednak bardzo istotnie od apokalips żydowskich. Autorem jej jest, jak wiadomo św. Jan, co zarówno potwierdzone jest tradycją z II-go wieku (kanon Muratoriego i komentarz św. Hipolita), jak i krytyką tekstów t. j. podobieństwem stylu i argumentacji z IV-tą Ewangelią i 3-ma listami kanonicznemi św. Jana.

Jednak, stwierdza o. Flick, 20-sty akapit Apokalipsy św. Jana wydaje się zapowiadać nadejście tysiącletniego Królestwa Chrystusa ze sprawiedliwymi zmartwychwstałymi przed Sądem Ostatecznym.

Obok milenaryzmu hebrajskiego powstał za tym i milenaryzm chrześcijański. O ile pierwszy, całkiem przeciwny duchowi Ewangelii był podtrzymywany tylko przez heretyków (gnostycy II-go wieku, wiele sekt protestanckich, po dziś dzień, jak Świadkowie Jehowy. Badacze Pisma św. i t. d.), II-gi utrzymał się do IV-go w., kiedy go zwalczyli święci Hieronim i Augustyn, pojawia się jednak jeszcze niekiedy w związku z klęskami społecznemi i nieszczęściami narodowemi. To też, nie dawniej, jak w r. 1944 musiało się św. Officium wypowiedzieć przeciwko niektórym jego przejawom, występującym szczególnie w krajach języka hiszpańskiego, stwierdzając że:

„Doktryna głosząca że Chrystus przed Sądem Ostatecznym ma zastąpić na tą ziemię w sposób widoczny i która, bądź wiąże z tem, bądź nie, zmartwychpowstanie wielkiej ilości sprawiedliwych — nie może być wykładana, jako doktryna bezsporna". (Acta Apostolica Sancta Sedis 1944).

Nauka Kościoła bowiem, pisze dalej o. Flick, chociaż milenaryzmu nie potępia jako herezję, uważa go za fantastyczny. Opierając się na Ewangeliach mówić można tylko o dwóch przyjściach (Paruzjach) Chrystusa (pomijając łaski uczynione poszczególnym osobom), jedno dla odkupienia, drugie dla osądzenia świata.

Tysiąclecie o którym jest mowa w Apokalipsie św. Jana, według wielu egzegetów, interpretowane ma być tylko jako obraz panowania Kościoła Wojującego, które ma trwać do końca świata.

W żadnym wypadku nie można interpretować Apokalipsy w sposób, któryby kolidował z innemi tekstami Nowego Testamentu, samego św. Jana i z doktryną Kościoła.

Innym błędem, pokrewnym milenaryzmowi i który pretenduje do oparcia o teksty biblijne jest Joachimizm, od Joachima da Fiore w w. XIII-ym. Dzielił on historię świata na 3 okresy: okres Boga Ojca — czasy Starego Testamentu, okres Syna Bożego — czasy obecne i okres Ducha św. — czasy, które mają nadejść, z któremi wiąże się zapowiedź nowego objawienia. Teorie Joachima da Fiore miały swego czasu wielki wpływ w szerokich kołach, dziś jeszcze wydaje się sprzyjać im znany włoski pisarz Giovanni Papini, w „Listach Celestyna V-go". Teorie te są jawnie sprzeczne z doktryną Kościoła i, w skrajnej swej formie Joachimizm jest niewątpliwie heretyckim, chociaż Kościół nie przypisał nigdy jego wywodom dostatecznie powagi, aby go uroczyście potępić.

Od takich skrajności należy odróżnić nadzieje żywione przez wielu teologów, że Kościół, — zanim czasy będą dokonane — cieszyć się będzie mógł okresem wielkiego dobrobytu wynikłego z przystąpienia narodów do Jego nauki.

Wśród pisarzy katolickich, przedstawicieli optymizmu w ramach doktryny wymienić należy kilku francuskich pisarzy: z drugiej połowy XIX-go w. — P. H. Ramière, autora „Les Esperances de l'Eglise, wśród najnowszych o. Lagrange, autora Komentarza do Epistoły św. Pawła do Rzymian i o. Feret O. P. autora dzieła o Apokalipsie św. Jana, a przede wszystkim bardzo poczytnego i w Polsce znanego, niedawno zmarłego o. Sertillanges. La Vie Française (1942). Na czele zaś współczesnych pesymistów stoi również Francuz kard. Billot, T. J. wybitny teolog, prof. teologii dogmatycznej na Papieskim Uniwersytecie w Rzymie. Ur. w r. 1843 zm. 1931, został kardynałem w r. 1911, zrzekł się kardynalskiej godności po potępieniu przez Piusa XI działalności „Action Française".

Optymizm ma swoje źródło w silnie zakorzenionej w naturze człowieka potrzebie nadziei — toteż przekraczanie jego dozwolonych granic stanowi swego rodzaju pokusę. Pesymizm jest mniej pociągający i doprowadził chrześcijan do mniejszych skrajności. O. Billot w swoim dziele „La Parousie" przypomina jak dalece doktryna chrześcijańska związana jest z uznaniem konieczności doczesnego cierpienia. Zawsze prawdziwemi zostaną słowa Chrystusa:

Jeśli kto chce za mną iść, niech się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój i naśladuje mnie (Mat. XVI. 24): oraz przestroga zawarta w II Tym. III. 12:

I wszyscy, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, prześladowanie cierpieć będą.

Nie wydaje się też kardynałowi Billot aby zapowiadał doczesne zwycięstwo dobra przypowieść o kąkolu, ze słowami Chrystusa: Dopuśćcie obojgu rość aż do żniwa.

Wyraźnie granice chrześcijańskiego optymizmu i pesymizmu określa św. Pawła List I do Koryntian X. 13: ...a wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić was ponad wasze siły, ale razem z pokusą da też i wyjście, abyście ją przetrzymać mogli.

Każdy zatem optymizm, który słabości ludzkiej nie bierze pod uwagę i obiecuje doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa przez drogę inną, niż drogę krzyża jest humanizmem fałszywym. Pius XII przestrzegł przed nim na końcu Encykliki Mediator Dei w r. 1947.

Co piszą inni...

NAWIĄZUJĄC do artykułu Pawła Jasienicy o „zmorze zaścianka" i wynikłej w związku z tym na łamach „Dziś i Jutro" dyskusji, Józef Klimek analizuje w „Odrze" problem zewnętrznych warunków powstawania polskiej zaściankowości oraz kształtowania się opinii za granicą o Polsce i Polakach („Niemcy budują polski zaścianek" — „Odra" nr 25/187).

Założeniem autora jest omówienie pewnego fragmentu zewnętrznej, powiedzmy obiektywnej, strony tego zagadnienia, którą można by — z dużym naturalnie uproszczeniem — zamknąć w pytaniu: dlaczego „polski zaścianek jest równocześnie w skali europejskiej synonimem peryferii kulturalnej i cywilizacyjnej oraz jakie stąd wynikają dla nas — właśnie w skali zewnętrznej, europejskiej, a nawet światowej, skutki w zakresie kształtowania się opinii o Polsce i Polakach".

„Jest to — pisze J. Klimek — zagadnienie bardzo konkretne, decydujące o istocie naszego prestige'u międzynarodowego w sensie ciężaru gatunkowego, jaki się w świecie przywiązuje naszym interesom i potrzeobm, czyli w stopniu, w jakim się te nasze odrębne potrzeby i interesy honoruje w wypadku ich kolizji z podobnymi postulatami innych państw i narodów".

Uwzględniając wieloprzyczynowość i skomplikowany układ warunków geograficznych, politycznych i ekonomicznych, autor zajmuje się postawionym problemem wyłącznie w odniesieniu do stosunków polsko-niemieckich. Stawia on tezę, iż „causa prima" naszej peryferyczności i nienależytego wystąpienia w dziejach Europy w kategorjach elementów aktywnych byli i są Niemcy". Dodaje także, iż „ewentualny dowód niemiecki, dowód polityki życiowej na nieprawdziwość tej tezy należy jeszcze do kategorii przyszłości".

Udawadniając postawioną przez siebie tezę pisze: „Dla utrzymania polskiego zaścianka walczyło cesarstwo niemieckie wraz ze sforami margrafów na przestrzeni X—XIII w. z próbami utworzenia silnego królestwa polskiego względnie podtrzymywało stosunki dzielnicowego rozbicia, niszcząc przy tym w łupieskich wyprawach (własnych i sojuszników) bogactwo materialne i fundamenty kulturalne młodego państwa. To samo cesarstwo — przez swój sposób „chrystianizowania" odpowiada za likwidację Słowian zachodnich, za młodszość kulturalną Polski, wynikią z opóźnionego przyjęcia chrześcijaństwa i z utrudnionego przez Niemcy i ich satelitów kontaktu z Rzymem i Francją. Zjednoczone mimo to i okrzepłe Królestwo Polskie traci w kleszczach polityki okrążania, uprawianego przez Luksemburgów, Habsburgów i Hohenzollernów ziemie Nadodrza, a zwłaszcza Śląsk oraz Pomorze, co równa się odcięciu od ówczesnych ognisk kultury, cywilizacji i gospodarczego rozkwitu. Dopiero odzyskawszy dostęp do Bałtyku — przeżywa Polska swój złoty wiek. Trwałego kontaktu z ówczesnym światem jednak znowu nie nawiązuje, gdyż nad Bałtykiem siedziały na piersiach Prusy. W rezultacie nastąpiła katastrofa rozbiorowa, przygotowana systematycznie przez Fryderyka II, „wielkiego budowniczego" polskiego zaścianka, dezorganizatora życia tego zaścianka, aż do kompletnej ruiny — jak to ostatnio wybadał prof. Konopczyński w swoim „Fryderyku Wielkim, a Polska".

Przechodząc do omówienia stosunku Europy do Polski, jaki się na tym tle ukształtował, pisze J. Klimek: „Po ośmiu wiekach uporczywej walki o wolność i suwerenność własnego państwa, po wiekach pozycji mocarstwowej, która legitymowała, bodaj siłą bezwładu prawo do niepodległości — rządy Europy oswoiły się z myślą, że naród wielki i dotychczas wolny może żyć w niewoli, może w każdym razie — na wolność poczekać, aż do korzystniejszej okazji. W dyplomacji europejskiej przybył jeden przedmiot przetargu, a zbrojne zrywy Polaków podnosiły jedynie cenę tego przedmiotu. Przestaliśmy być w oczach świata podmiotem.

Nawiązując do okresu ostatniej wojny pisze: „Nasze interesy się nie liczą. Wobec tego straty również nie. Oczywistemu prawu do życia, i to na odpowiednim poziomie, Niemców — odpowiada wątpliwość celowości istotnego zapewnienia bytu Polakom przez ich powrót na ziemie Nadodrza".

OMAWIAJĄC kształtowanie się za granicą wiedzy o Polsce i Polakach stwierdza autor, iż urabiana była ona przede wszystkim przez naukę niemiecką, często nastawioną wyraźnie antypolsko, nie mówiąc już oczywiście o jawnie antypolskiej propagandzie. I tu wyraźnie i jakże słusznie formułuje potrzebę szerokiej kontrofensywy.

„Osmańczyk pisał kiedyś o istniejącym na Zachodzie antypoloniźmie. Rzeczą naszą jest zdanie sobie sprawy z faktu jego istnienia, z jego konstrukcji i z woli, jaką przy stworzeniu go odegrała propaganda niemiecka, aby — w oparciu o tę wiedzę — rozpocząć kontrofensywę prawdy o „polskim zaścianku", zdjąć zeń piętno egzotyki, pokazać światu to, co w nim naprawdę kulturalne, a nade wszystko wyrobić prawo obywatelskie dla polskich interesów i potrzeb życiowych. Zadania tego nie osiągniemy metodą sprostowań, tzn metodą i postawą obronną... Musimy wyraźnie przejść do ofensywy...".

Wreszcie ostatnia część ciekawego artykułu J. Klimka poświęcona jest sformułowaniu konkretnych wniosków. Oto ich skrót:

„Polska kontrofensywa musi być wszechstronna, tzn. musi obejmować wszystkie zagadnienia i dziedziny życia — od gospodarki dzisiejszej poprzez sprawy polityki, problematykę socjalną, kulturalną, artystyczną, naukową itp., aż do historii Polski polskiej literatury narodowej włącznie... Akcja ta musi biec wielotorowo... Praca ta musi się nareszcie układać wielopłaszczyznowo.

Polska kontrofensywa musi być systematyczna, konsekwentna i wytrwała świadomość jej rozgrywania się winna tkwić w mentalności każdego Polaka, w pracach i poczynaniach każdej polskiej instytucji i placówki.

Wszechstronności i systematyczności towarzyszyć musi duży umiar, pozbawiony jednak kompleksów małowartościowości".

Formułuje też J. Klimek kilka szczegółowych wniosków, jak: podjęcie tłumaczeń, uruchomienie za granicą polskich instytutów wydawniczych, mobilizacja recenzentów polonistów, tworzenie dokumentarnych filmów polskich za granicą i wznowienie pracy propagandowej nad zagadnieniami Ziem Zachodnich.

Pod tymi wnioskami nie wystarczy się tylko uroczyście oburącz podpisać, ale trzeba dołożyć wszystkich starań do ich realizacji.

tm.

Napisał

MAREK ANTONI WASILEWSKI

BEZ

— Jeden, pierwszej klasy do Warszawy.

Kasjerka obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Przypomniała sobie jego twarz z dziesiątków fotografii zamieszczanych w magazynach i — oniemiała z zachwytu. On, Zbigniew Trampisz, w całej swej okazałości, kupuje u niej bilet! Nie wierzyła swemu szczęściu. Kiedyś, jeszcze w szkole, pokłóciła się na śmierć z Zosią, oczywiście o niego. Twierdziła, że to on grał rolę leśniczego w „Zodjaku". Głupia ta Zośka! Upierała się, że Łuniewicz. Pokręciło się jej, czy co...? A jaka bezczelna! Jak wrzeszczała!...

— Jeden, pierwszej klasy do Warszawy — powtórzył Trampisz.

Kasjerka zatrzepotała rzęsami, otworzyła szeroko oczy i przybierając zalotną minę, odrzekła głosem Grety Garbo:

— Niestety, łaskawy panie, wagon z przedziałami pierwszej klasy chodzi tylko dwa razy w tygodniu: w poniedziałki i w piątki.

Była szalenie ciekawa, czy Trampisz pozna ją. Przecież raz, gdy przyjechał do Szczecina, kupiła bilety w drugim rzędzie. Patrzał na nią wówczas, czuła to wyraźnie. Przez cały trzeci akt prawie nie odrywał od niej wzroku.

Zbigniew uśmiechnął się ironicznie.

— To, może wobec tego, „łaskawa pani" da mi drugą klasę.

— Nie radzę panu brać drugiej klasy, bo jedzie dziś wycieczka dziennikarzy czeskich, którzy wykupili wszystkie miejsca i chcąc — niechcąc, będzie pan musiał stać na korytarzu.

— W takim razie, może znajdzie się jakiś bydlęcy wagon. Tylko, czy przypadkiem nie będzie nim jechała wycieczka krów holenderskich, abym nie musiał stać na buforze? A może macie drezynę do Warszawy? Jazda na drezynie, to moja specjalność. A, gdyby nie było, to może jest wagon-lodownia? Mogę pojechać jako wanijowe lody. Jeśli zaś to wszystko zawiedzie, to może jest wagon-cysterna, lub wolne miejsce na węglarce?

Nie odczuła dowcipu. Była zbyt przytłoczona wielkością jego osoby.

— Ja... jabym panu radziła zwyczajnie, trzecią klasą. Dziś bardzo mało pasażerów. Już wszyscy wyjechali.

— No to proszę trzecią.

Podała mu bilet, wydała reszty; zabrał nie oglądając i odszedł od okienka.

Nie poznał! A tak się łudziła! Załamała ręce. Ale w każdym razie powie Jadzi, że Trampisz kupił u niej bilet. Nie uwierzy, a tu naprawdę... Ha, ha! Jakże będzie jej zazdrościć. I rozmawiała z nim! No, może nie? Rozmawiała, rozmawiała... O czym to on mówił? Nawet nie pamięta... acha, chciał jechać na węglarce... A to ci sensacja! Nie, Jadzia nie uwierzy — Trampisz na węglarce!

— Proszę pani, o czym pani myśli? Przecież już drugi raz proszę o bilet do Łodzi.

Ocknęła się. Spojrzała na interesanta. Młody, suchy blondyn. Ani mu się umywa do Trampisza. Pewnie jakiś włókniarz z wczasów.

— Łódź. Która klasa?

— Trzecia. A co? Pani myślała, że pierwsza? — zaśmiał się blondyn i objął ją pożądliwym wzrokiem

— Proszę; — Zniechęcona, rzuciła bilet. — No, dałam! Nie widzi pan? — ofuknęła młodzieńca. — Cóż się pan tak zapatrzył? Proszę odejść, bo pan ruch tamuje. Następny!

Zbigniew wyszedł na peron. Mała stacyjka pokryta czerwoną dachówką była czyściutka i przytulna. Na dworze stało kilka ławek z wygodnymi oparciami. Przypominały ławki z Łazienek. Zbigniew postawił walizkę i rozłożywszy koc, usiadł na jednej, wpatrując się w bezkres niknących na horyzoncie torów. Od portu dął lekki wiatr. Mewy unoszone powiewem spływały ku lądowi, poruszając z wolna, ale usilnie białymi skrzydłami. Ryk syren okrętowych przytłumiony i odległy docierał z wiatrem do stacji i rozlewał się po okolicy między małymi, piaskowymi domkami, spośród których wystrzelały tu i ówdzie białe pnie brzóz. Było chłodno.

Wstał z ławki, zapinając kurtkę pod szyją. Prom ze Świnoujścia przybijał właśnie do brzegu, niosąc na swoim grzbiecie prócz licznych pasażerów, dwa pokaźne Fordy, które już zapuszczały motory. Prom stuknął o brzeg, a ciężarówki jęknęły i poczęły gramolić się na jezdnię. Zatrzymały się przed stacją. Wysypała się z nich czereda radzieckich marynarzy. Zbigniew zainteresował się. Nigdy nie widział jeszcze radzieckich matrosów. Byli ogorzali od wichru. Ich białe koszule w niebieskie paski wyglądały spod rozchełstanych bluz, a u czapek powiewały po dwie czarne wstążki. Wyskakiwali szybko i poprawiali przewieszone przez plecy pepesze. Podawali sobie z Fordów drewniane kuferki, gestykulując żywo i namiętnie. Weszli na peron. Wtedy Zbigniew przeczytał na ich czapkach: „Bałtyckij Fłot". Śmieli się i spluwali przez zęby.

— Siergiej, a u was sigareti jest? — zagadnął jeden towarzysza.

Zbigniew lubował się ich akcentem. Samo „Siergiej", jak to było ładnie powiedziane! Patrzył na nich trochę, jak na żywe eksponaty. A marynarze uśmiechali się i pluli, jak to marynarze. Ułożyli piramidę z kuferków i szeptali między sobą, nie zapominając spluwać dyskretnie, lecz z nonszalancją. Czapki mieli nasunięte prawie że na same oczy, z wyjątkiem podoficera, który zsunął swoją na tył głowy, odsłaniając czoło z ciągnącą się na nim różową, wypukłą blizną.

Jeszcze dwie godziny do podstawienia pociągu. Czas wlókł się niemożliwie. Stacyjka odżywała nieco, tu i tam pokazywały się jakieś postacie z walizkami. Wiatr osłabł. Prom stał u brzegu i dyszał ciężko, pykając z komina małymi porcjami dymu. Środkiem zalewu płynęły dwa traulery, pomalowane na kolor morskiej wody. Biało-czerwona flaga na rufie, rzucała się w oczy niby czerwona latarnia. Mewy usiłowały nadal dostać się nad morze, ale widać na tej wysokości panowały silniejsze prądy powietrzne, bo ptaki ruszały skrzydłami pozostając w miejscu.

Młoda kobieta usiadła na końcu ławki. Zbigniew przyjrzał się jej. Była ładna. Przypominaa mu Annę. Skojarzenie to wywołało w nim uczucie, które zbliżone było zarówno do bólu jak do niepokoju. Wyjął książkę, zamierzając czytać, ale wiatr zerwał się znowu i przewracał kartki, które Zbigniew usiłował przytrzymać. Wreszcie Trampisz poddał się. Schował książkę do kieszeni kurtki i zapalił papierosa. Radzieccy marynarze pousiadali na kuferkach. Nie rozumiał, czemu nie chcieli zajmować pustych ławek. Zbigniew zorientował się, że jest mu chłodno. Narzucił na siebie koc i wtuliwszy głowę w kołnierz puszczał kłęby dymu jak fiński parostatek który przechodził właśnie przez zalew.

Anna pisała mu, że czeka. Cóż? Nie ślubował jej przecież nigdy wierności. W ogóle nie powie jej o tych kobietach, a zresztą... czyż ona sama nie domyśla się wszystkiego. Przecież ostatecznie, on, Zbigniew Trampisz, nie potrzebuje zbytnio męczyć się szukaniem towarzystwa pięknych kobiet, o tym chyba Anna wie doskonale — usiłował tłumaczyć się przed sobą.

Papieros zaczął parzyć w usta. Wyjął bursztynową fifkę, osadził niedopałek i palił do końca. Fale chlupały miarowo o wybetonowany brzeg. Kilku marynarzy przeszło tory i odlewało się w pobliskich krzakach. Daleko gwizdała lokomotywa.

— Czy mogę pana prosić o ogień? — zwróciła się do Zbigniewa, kobieta z końca ławki.

— Założę się, że będzie chciała autograf — pomyślał, podając jej płonącą zapałkę.

Zapaliła papierosa i patrzała w niebo. Zbigniew otulił się szczelnie kocem.

— Wiatr — powiedziała kobieta, wypuszczając kółeczko białego dymu.

Rozwiało się momentalnie w powietrzu.

— Jestem przekonany, że skończy się na autografie — upewnił się w myśli Trampisz. — Uhm — powiedział sennie, zakrywając ręką usta.

Kobieta nie dała za wygraną.

— W ciągu ostatniego tygodnia mieliśmy tylko jeden dzień słoneczny.

— Uhm — stęknął Zbigniew.

— A pan z Warszawy?

— Uhm.

Zakręciła się niespokojnie. Postanowiła widocznie zmusić go do wypowiedzenia słowa.

— A pan, jak był nad morzem? — spytała, kładąc nacisk na „jak".

— Uhm — odpowiedział Zbigniew zwieszając głowę.

Skapitulowała. Napuszyła się i wyrzuciła papierosa, przydeptując go gniewnie końcem obcasa.

Wspomnienie Anny nie dawało Zbigniewowi spokoju. Pamiętał chwilę, kiedy odprowadził ją na tej samej stacyjce. Był to właśnie ten jedyny słoneczny dzień, o którym wspominała sąsiadka z ławki. Anna machała ręką z okna odjeżdżającego wagonu długo, bardzo długo i Zbigniew też machał długo, bardzo długo, a później poszedł do Gertrudy i... eee, szkoda myśleć! Wspomnienia przyprawiały go o niesmak. Anna napisała taki szczery, serdeczny list, a on... Podrzucił głowę z wściekłością, zgrzytając zębami.

Kobieta spojrzała na niego zdumiona i przesiadła się na sąsiednią ławkę. To było właśnie sumienie — to, czego Zbigniew nie znosił, jakiś głupi, natrętny, wewnętrzny głos, który mógł powtarzać mu w nieskończoność: źle zrobiłeś, źle zrobiłeś, źle zrobiłeś, źle...

Cóż u licha! Powinni już podstawiać.

Rzeczywiście. Z południa wtaczał się na tory pociąg, popychany przez czarną, pękatą lokomotywę. Z poczekalni wybiegła gromada Czechów. Potrząsali walizkami i przynaglali się wzajemnie do pośpiechu. Marynarze nie okazywali zdenerwowania. Spluwali spokojnie przez zęby i patrzeli w stronę zbliżającego się pociągu.

Zbigniew zwinął koc, chwycił walizkę i poszedł wzdłuż peronu w kierunku nadjeżdżających wagonów

Chmurzyło się.

Kiedy pociąg zatrzymał się, Zbigniew otworzył drzwiczki, wepchnął walizkę i wskoczył do wagonu Wszystkie przedziały były puste. Wybrał drugi z brzegu. Zdjął kurtkę, położył walizkę na półce i w tym momencie lunęło. Rzęsisty deszcz bębnił na peronach, rozpryskując się na wszystkie strony. Marynarze nabrali życia. Rzucali kuferkami z rąk do rąk, ładując się do sąsiedniego wagonu. Zbigniew rozłożył koc i wtulił się w kąt, zamknąwszy oczy. Deszcz bębnił nieprzerwanie.

— Czy można? — przerwał mu drzemkę jakiś męski głos.

Spojrzał przez okno. Deszcz już ustał. Byli jeszcze ne peronie stacji Odry-Portu.

W drzwiach do połowy odsunietych zobaczył siwiutkiego struszka w binoklach, z sumiastym wąsem.

— Czy można? — powtórzył staruszek, pomimo, iż w przedziale prócz Zbigniewa nie było nikogo.

— Można — powiedział szorstko i zakrył twarz kurtką.

Staruszek wszedł do przedziału na palcach i starał się jak najciszej zamknąć drzwi. Położył swą walizeczkę na półkę i przycupnął naprzeciw Zbigniewa, opierając się ostrożnie o okienny stolik białe, delikatne ręce, na których rysowały się jak rzeki na mapie niebieskie linie żył.

Pociąg ruszył.

— Chwała Bogu. Zdążyłem — rzekł półgłosem staruszek w stronę zasłoniętego kurtką Zbigniewa.

Trampisz nie zdradzał jednak chęci do rozmowy. Udawał, że śpi. Po deszczu niebo rozjaśniło się. Pociąg kołysał. Zbigniew przesiedział tak z kwadrans pod kurtką, aż wreszcie załamał się. Wystawił głowę i spojrzał przez okno.

Staruszek ożywił się.

— Pan daleko?

— Uhm — odmruknął Zbigniew.

— Nie wiem, czy pan mnie jeszcze pamięta — zaczął staruszek i urwał. — To było już bardzo dawno. W Przemyślu — pomagał Trampiszowi — w Przemyślu. Kupował pan u mnie stalówki. Pamięta pan? Sklepik na rogu, koło gimnazjum.

— Tak — powiedział Zbigniew — przypominam sobie jak przez mgłę.

— A Karolczyka pan pamięta, tego woźnego?

— Nie. Nie przypominam sobie.

— Został prezydentem miasta. Pan sobie wyobraża? Co?

— Nie. Nie wyobrażam sobie.

— Widzi pan, no widzi... — cieszył się stary.

Zbigniew nie był zachwycony towarzystwem. Chciał właśnie przemyśleć sprawę Anny. Nie wiedział jeszcze jak się wobec niej zachowa. Chciał sobie spokojnie rozważyć możliwość małżeństwa z Anną, a tu przysiada się taki stary gględziarz i...

— A Zwoleńskiego przypomina pan sobie? Rzeźnika z Okrężnej? Z długim nosem.

— Nie. I Zwoleńskiego również sobie nie przypominam.

— No, widzi pan. A on dzisiaj jest majorem, ma-jo-rem. Widział pan coś podobnego?

— Nie. Nie widziałem — powiedział Zbigniew z odcieniem rozpaczy w głosie.

— Wobec tego, pan pozwoli, że ja się przedstawię — rzekł staruszek — Wojko, Bernard Wojko. Teraz już chyba pan sobie mnie przypomina, co?

— Rzeczywiście — odparł Trampisz, ściskając dłoń starca, mimo, że niczego sobie nie przypominał.

— Tak, tak. Ja u pana kupowałem stalówki. Ależ, oczywiście. Sklepik na rogu przy gimnazjum. Jak ja mogłem nie pamiętać?!

— Wie pan — Wojko uśmiechnął się tajemniczo — muszę panu zdradzić pewien sekret.

— No? — spytał udobruchany Zbigniew.

— Pan jest moim ideałem.

— Aaaa — zaśmiał się — to niewątpliwy zaszczyt.

Staruszek jednak poczuł się urażony. Zmienił ton. Wąsy opadły mu i przysunęły się ku sobie.

— Pan się śmieje — rzekł z wyrzutem. — Ja wiem, że pan jest wielkim artystą, a ja... cóż. Kiedys nawet chciałem grać... Mieliśmy w gimnazjum wystawiać „Cymbelina", pan sobie wyobraża? Szekspira, ale — machnął ręką — okazało się, że szkoła nie sfinansuje dekoracji, a już pół roli umiałem na pamięć... Tak. Pan jest artystą, ale pan... pan należy już do nas wszystkich. Kiedy ja ze Zwoleńskim po pańskiej ostatniej roli... Niech pan się nie śmieje. Nie opuściłem po wojnie żadnego przedstawienia, w którym pan brał udział Widziałem wszystkie pańskie kreacje: Otella i Konrada, Fausta i Dom Juana, Hamleta i... i...

— I jednym słowem chciałby pan dostać ode mnie autograf. Prawda? — przerwał Trampisz i sięgnął po pióro.

Na twarzy Wojki odbiło się zdziwienie.

— Autograf? Niee. Po co? A cóż mi z tego? Ja szukam sztuki. Pan daje mi przeżycia, doznania artystyczne. Ale autograf? Nie, to mi niepotrzebne. Dziękuję.

Zbigniew poczuł, że czerwieni się. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Nabrał nagłej niechęci do towarzysza podróży.

— Ten stary pryk działa mi na nerwy — skonstatował.

— Ot, co, widzi pan — ciągnął Wojko — chciałbym z panem porozmawiać. Marzyłem o tym od dawna, ale nigdy nie miałem odwagi iść do pana za kulisy. Pan wszak musi mieć wielce bogatą skalę przeżyć. Przecież pan żyje każdą rolą, to się widzi. Taki Otello na przykład, mój Boże, czy pan wie, że ja z powodu pana dwie noce nie mogłem zasnąć. Mówiłem jeszcze następnego dnia do naszej znajomej, która ma mydlarnię na Złotej. Pani Kapuścińska, mówiłem, Trampisz przeszedł siebie. A Trampisz to nasz człowiek. Pani wie, że ja mu stalówki jeszcze w Przemyślu sprzedawałem? On przychodził do nas z tornistrem. Taki — pokazał ręką — taki malutki". Ha, ha, to były czasy.

— Tak — powiedział oschle Zbigniew — myślę, że teraz...

Ale Wojko rozpalił się.

— I oto, proszę pana, dziś chciałbym się od pana dowiedzieć wielu rzeczy. Chciałbym z panem porozmawiać o sztuce, o teatrze, o życiu artysty. To są wszystkie niezniszczone marzenia mojej młodości. To tak, wie pan, jakby się przeszło koło człowieka, który woła o pomoc i nie pomogło mu się. Czy pan ma czasem wyrzuty sumienia? Otóż ja proszę pana pokutuję w życiu dlatego, że nie poszedłem na scenę, a mieliśmy nawet wy-

SZMINKI

stawiać Cymbelina... Tak, proszę pana. Wyrzuty sumienia. Pan pew nie nie wie co to jest?

Zbigniew zamyślił się. Zobaczył w wyobraźni Annę, machającą rę ką z pociągu.

— Nie wiem — powtórzył machi nalnie i poczuł jak go coś piecze w sercu — nie mam pojęcia.

— O, to jest okropne. To, jakby pana co minutę, ktoś szarpał za rękę. W dzień i w nocy. Całe życie się pamięta. Całe życie. Ale nie o tym chciałem mówić. Kiedy zobaczyłem pana w roli Otella nie spałem z podniecenia dwie noce — powtarzał się — a pan? Czy panu ta rola nie spędzała snu z powiek?

Zbigniew zagłębił się we wspom nienia. Nie. Po premierze Otella spał świetnie. Tylko z kim? Prawdopodobnie z Jolantą. Tak, z nią. Powiedziała mu potem: „Ale chyba mnie teraz nie udusisz?" Zaśmiał się i pocałował ją w usta.

— Tak — zgodził się — to była rola, która mnie wiele kosztowała. Włożyłem w nią wszystko. Dałem z siebie co mogłem, ale musiałem się wpierw nauczyć zazdrości. To nie przychodzi łatwo. Aktor, to człowiek, który ciągle rzuca swoje uczucia na szalę eksperymentu.

— Tak — podchwycił staruszek — ale to jest piękne, że daje te uczucia widowni, że one się nie mar nują, nie idą w próżnię, nie giną. Służą dobrej sprawie.

— Przeważnie — przytaknął Trampisz.

— A czy przypomina pan sobie Masynissę. Przecież pan był wtedy istnym szatanem! Bałem się pana. Był pan uosobieniem zła. Nie mogę pojąć, jak mógł pan grywać jednego dnia Księcia Niezłomnego, a drugiego dnia Masynissę. Jak można było tak przeczyć sobie, tak zmieniać oblicze?! Pan podchodzi do roli z takim przekonaniem, że nieraz trudno mi było nie potępiać pana za dwulicowość.

Zbigniew nie lubił tego rodzaju rozmów. Nie umiał brać w nich udziału. Nie czuł nigdy żadnych wyrzutów sumienia z racji przeobrażania się z Masynissy w Księcia Niezłomnego, ani na odwrót. Wykraczało to poza zakres jego subtelności. W ogóle nie wiele mógł powiedzieć o swojej grze, a jeszcze mniej o przeżyciach. Bo, czyż je miał? Szczerze mówiąc, wszystko co opowiadał było nieprawdą. Pamiętał ostatnie wywia dy do pism, które opracowywał we spół z Gliczenką. Gdyby nie Gliczenko nie potrafiłby z pewnością sklecić ani jednego zdania z sensem. Nie rozumiał tych dziesiątków ludzi, którzy zachwycali się nim na scenie i prosili o uchylenie rąbków autoanalizy jego gry. Nie mógł przecież powiedzieć, że mu to wszystko, tak jakoś samo wychodziło, ani wie jak. Wstydził się tego, a poza tym mało go ta sprawa wzruszyła. Introspekcja była dla niego zawsze najtrudniejszą dziedziną obserwacji. Najgorsze było to, że trzeba było zmyślać ja kieś niesamowite subtelności i wmawiać je ludziom, chociażby te go typu, co Wojko.

— Pan nie ma pojęcia, ile mnie to kosztowało — zaczął Zbigniew — rzucanie się z krańca na kraniec, przedstawianie na coraz to inny ton całego swego „ja"... Po Irydionie i Księciu Niezłomnym byłem kompletnie wyczerpany psy chicznie. Pan sobie nawet nie może zdać z tego sprawy, ile to akto ra kosztuje, taka reinkarnacja co dwadzieścia cztery godziny. Pan nie może wiedzieć, ile w tym jest bólu i niepokoju — ciągnął z em fazą. — Byłem bliski obłędu.

— Ale właśnie to — radował się Wojko — właśnie to, napawa mnie takim szacunkiem, takim uznaniem dla pana. Pan jest artystą, który pełni misję społeczną, który poświęca się dla nas wszystkich, który uszlachetnia nas i podnosi własnym kosztem, kosztem swych przeżyć. Pan daje nam ofiarę z siebie. Jest pan kapłanem sztuki. Czyż nie?

— Niewątpliwie — poświadczył Trampisz.

— Ogromnie jestem ciekaw jak pan wypadnie w „Czerwonym gaju".

— Ja też — przyznał się Zbigniew.

Zapadła chwila milczenia.

— Trzebaby coś zjeść — powiedział po namyśle Wojko. — Może pan gruszkę?

Wyciągnął z palta torbę z owocami.

— Ale proszę bardzo.

— Serdecznie dziękuję. Mam ze sobą całą kolację.

Staruszek wyjął kromkę chleba i zaczął przeżuwać rzadkimi zębami. Trampisz spostrzegł, że chleb był suchy.

— Pan z wczasów? — zagadnął.

— Nie — zaprzeczył Wojko. — Z pogrzebu siostry. Te gruszki są z jej ogrodu — zmienił raptownie temat. — Śliczny ogród biedaczka dostała. Taak — westchnął i przestał jeść na chwilę. — Zbliżamy się już do kresu. A najsmutniejsze to, to, że człowiek mógł wiele zrobić, a nie zrobił nic. Pan na przykład jest szczęśliwy. Ma pan tę satysfakcję, że wnosi pan jakiś konkretny wkład do naszej kultury, że kiedyś wspomnienie po panu będzie miało swój ciężar gatunkowy. A ja? Cóż? Mieliśmy grać Cymbelina... a później... trzeba było zarabiać na życie...

Rzucił się łapczywie na chleb, jakby jedzenie miało się stać dla niego lekiem na zapomnienie. Zapadał zmierzch. Równinny krajobraz sunął monotonnie na tle szyb. Od czasu do czasu wynurzało się pasmo lasu, które znikało błyskawicznie ustępując miejsca płaskim łąkom i ścierniskom. Gdzieniegdzie wyskakiwały znienacka czerwone dachy wsi i ginęły jeszcze szybciej niż się ukazały. Miarowy turkot kół na spojeniach szyn działał usypiająco.

Zbigniew spod półprzymkniętych powiek obserwował Wojkę, który zjadłszy chleb, zabrał się do gruszek. Sok kapał mu po brodzie na spodnie.

Zamknął oczy. Widział teraz przed sobą twarz Anny. Zaczął so bie układać plan rozmowy z nią na najbliższe spotkanie. Niczego jednak nie mógł wymyślić. Wszystko było złe i „nie takie" jak być powinno. Wściekły był na siebie, że poświęca jej tyle miejsca w ma rzeniach. W każdym razie nie przyzna się. Powie, że wszystko było w porządku i że od jej wyjazdu nawet nie spojrzał na kobiety. Ach, Anna była wspaniałą dziewczyną. Miała małe karminowe usta i zielone jak morze oczy. Kiedy rozczesywała włosy, Zbigniew nie mógł oderwać od niej spojrzenia. Usiłował odtworzyć sobie w pamięci jej niski, łagodny głos. Naprawdę była czarująca.

— A może pan gruszkę? — zaproponował raz jeszcze Wojko.

Nie odpowiedział.

— Może pan gruszkę, może pan gruszkę, może pan gruszkę — śpiewał pociąg na szynach. Kiedy go zbudził kontroler, oślepły od blasku karbidowej lampki, podał machinalnie bilet. Dostrzegł, że Wojko śpi ułożywszy głowę na stoliku. Usnął natychmiast i przebudził się rano z silnym bólem karku. Mijali Włochy. Na horyzont wysunęły się ruiny stolicy z pękatą, czerwoną wieżą kościoła świętego Jakuba. Wojko czesał siwą czuprynę i przeglądał się w kieszonkowym lusterku.

— Dobijamy do celu — powitał Zbigniewa, otwierając okno.

***

— Rozumiesz chyba, że nie ma innego wyjścia — powiedziała Anna, unikając jego wzroku.

— Czy to twoje ostatnie zdanie? — targował się. — Nic nie zmieni tej decyzji?

— No, pomyśl sam, jakby to nam obojgu mogło bardzo skomplikować życie.

— Tak — przyznał Zbigniew, — ale...

— W tym wypadku nie ma żadnego „ale". Mogę tylko powiedzieć tak, lub nie. Wybieram „nie". Sam wiesz, że mam rację.

— Tak. Jednak...

— Znów „jednak"! Jesteś uparty. Nie próbuj zmieniać rzeczywistości. Ucz się raczej do niej dostosowywać.

Trampisz sposępniał. Zachodzące słońce zapalało światła w oknach przeciwległych domów, rozlewało się po szybach pomarańczowym odblaskiem i raziło oczy tak, że trzeba było je mrużyć. Anna odwróciła się od niego i patrzyła na balkon.

— Teraz żałuję tylko jednego — mówił z lekkim wahaniem Trampisz — że nie miałem cię wtedy. Mówiłem ci przecież, że jeśli nie będziesz moja, tracimy się na zawsze.

— Oh, czemu nie poznałam cię wcześniej! — wybuchnęła Anna, odwracając ku niemu rozpaloną twarz.

— Nie próbuj zmieniać rzeczywistości. Ucz się raczej do niej dostosowywać. — Ironizował złośliwie, powtarzając jej słowa.

— Jesteś okrutny.

— Okrutny? Nie. Po prostu trzeźwo myślący. — Zrobił małą pauzę. Głos mu zadrżał. — I... i wyjdziesz za tego człowieka, którego przestałaś kochać, tylko dlatego, że będzie ojcem twojego dziecka?

— Tak.

— Zmarnujesz sobie życie.

— Czy będąc na moim miejscu potrafiłbyś je jakoś naprawić?

Zamilkł. Usiłował wyobrazić sobie tego człowieka, którego nie znał. Tego, który posiadał Annę! Ścisnął szczęki aż do bólu.

— Czy „on" wie o tym, że będzie ojcem? — spytał po namyśle.

— Nie. Jeszcze nie wie.

— Możesz więc spokojnie pozbyć się dziecka. „On" nie będzie przecież żałował. Nie wie. Nawet gdyby...

— Nigdy! — żachnęła się. — Chciałbyś dojść do naszego szczęścia po trupach? Ładne byłoby to szczęście. — Cofnęła się od niego. — Wiesz? — zaczęła.

— Co?

— Jednak... jednak dobrze, że nie poznałam cię wcześniej — mówiła cedząc słowa. — On by mi nigdy tego nie zaproponował. Nigdy nie udzieliłby mi takiej światłej, wskazówki... nawet, gdybyś ty miał być ojcem dziecka — dodała. — Jestem przekonana.

Zapanowało milczenie. Zbigniew czuł się jak człowiek spolicz kowany. Podniósł się z krzesła.

— Wydaje mi się, że musimy się pożegnać. Nie odmówisz mi chyba podania ręki.

Wyciągnęła ku niemu dłoń bez słowa.

— Po naszej rozmowie nabrałem jednego przekonania — mówił Zbigniew, ujmując jej rękę w swoją — że istnieje ponad nami, jakaś wielka sprawiedliwość, zimna, sztywna i bezlitosna. Zaczynam w to wierzyć coraz silniej.

Kiedy zbliżał jej dłoń do ust i poczuł zapach wody kolońskiej, przypomniał sobie morze. Była noc. Gwiazdy świeciły jasno i mrugały jak morska latarnia z półwyspu. Szli razem. Aleja roztaczała nad nimi dach z gałęzi. Przestał marzyć. Anna odprowadziła go do drzwi. Skrzypnęły cicho. Zbigniew przestąpił próg.

— Nie powiesz mi nic na pożegnanie? — spytał, gdy spostrzegł, że Anna stoi nadal w półotwartych drzwiach.

— Owszem. Mogę ci powiedzieć.

Usiłował uśmiechnąć się do niej. Było to bardzo trudne.

— Po pierwsze, że ta sprawiedliwość wcale nie jest taka zimna, sztywna i bezlitosna, jak sobie wyobrażasz, a po drugie — zastanowiła się nad czymś chwilkę — wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli nie będziemy się sobie kłaniali.

Zamknęła raptownie drzwi.

Uśmiech na twarzy Zbigniewa zgasł, przechodząc w wyraz bólu i rozczarowania. Trampisz nie schodził ze schodów. Zatrzymał się na moment, aby usłyszeć jak Anna odchodzi od drzwi, ale nie dosłyszał. Wiedział, że stoi teraz tak samo, jak on, aby usłyszeć jego kroki. Przez chwilę miał chęć wrócić i przeprosić ją, ale potem, gdy przypomniał sobie o dziecku, które kiedyś będzie oglądał, zabrakło mu odwagi. Zaczął schodzić po schodach ciężkim, chwiejnym krokiem. Zatrzymał się jeszcze na półpiętrze, spoglądając ku drzwiom, a potem zbiegł przeskakując po trzy-cztery schody.

Na ulicy daremnie szukał taksówki. Włożył ręce do kieszeni i poszedł śpiesznym krokiem do Alej. Na drzewach pojawiały się już tu i tam żółte liście. Naprzeciw niego szła jakaś kobieta z wózkiem. Zbigniew dojrzał pyzatą buzię i uniesione rączki dziecka. Wzdrygnął się. Przyśpieszył kroku. W parku wokoło bawiły się dzieci. Czteroletni bęben kopał barwną piłkę, pokrzykując radośnie na widok siedzącej przy sztachetach ogrodzenia kobiety. Wszędzie były dzieci. Małe, większe, roześmiane i radosne. Wszędzie słyszał ich śmiechy, zewsząd chwytał ich spojrzenia naiwne i przyjazne.

Wspomniał sobie nagle małą stacyjkę z czerwonym dachem. Anna machała ręką z odjeżdżającego pociągu i oddalała się. Jak teraz. Wspomnienie paliło jak ogień. Uciekł myślą do realiów. Usiłował zamazać obraz Anny i zagłuszyć pisk dzieci. Spojrzał na zegarek. Za półtorej godziny występ. Ciekawe, czy Gliczenko sprowadził już te uczciwe szminki, czy znowu każą mu się charakteryzować tandetą?

Żółte liście kołysały się niespokojnie na gałęziach, pośród suchej, zmarszczonej zieleni. Czerwony autobus minął go, pozostawiając za sobą, czarny, smrodliwy kłąb spalinowych gazów.

— Trzebaby wstąpić na kawę — pomyślał, odkłaniając się machinalnie jakiemuś mężczyźnie.

Przechodzące obok niego kobiety, w długich modnych sukniach, pochylały się ku sobie i szeptały:

— Trampisz, Trampisz... Patrz! Ten aktor...

Zbigniew patrzył na swój cień rozlany na trotuarze. Był długi i pokraczny. Wepchnięty na tył głowy kapelusz przypominał z lekka skafander. Drgające liście drzew, mogły być rybkami. Szelest mknących limuzyn, gwar rozmawiających przechodniów, daleko jakaś uliczna orkiestra gra sentymentalnego slowfoxa. Zbigniew poczuł się bardzo mały i bardzo podły.

— Spójrz! Ten w szarej marynarce to Trampisz — powiedział mężczyzna do kobiety, która kryła twarz za czarną woalką.

— Żeby chociaż ciszej wymawiali jego nazwisko! — myślał Zbigniew, obserwując nadal ruchy własnego cienia.

— Dzień dobry. Moje uszanowanie dla pana.

Odwrócił się. Obok niego szedł Wojko w kusej bezbarwnej marynareczce, między klapami której rozpościerała skrzydła czarna, wytłuszczona muszka.

Ukłonił się tak, jakby chciał kapeluszem odgonić natrętnego owada, ale Wojko nie dawał za wygraną.

— Mistrzu — powiedział — w „Czerwonym gaju" był pan niezrównany.

Zbigniew bąknął pod nosem jakieś niezrozumiałe podziękowanie.

— Wie pan, rozmawiałem wczoraj z panią Kapuścińską. Ta kobieta zna się na teatrze jak nikt w naszej całej kamienicy. Była tego samego zdania. Powiedziała to samiutko co ja: „Trampisz był niezrównany". Nigdy nie zapomnę tej zankomitej sceny z czwartego aktu, kiedy mówi pan do Elżbiety:

„Jeśli rozstać musimy się, droga
Niech twe imię zachowam w pamięci,
Jak ten pierścień na palcu mej ręki,
Który ciebie na myśl mi przywiedzie".

— Widzę, że pan się roli Rodryga uczył na pamięć.

— Nie. Co to, to nie. Ale pamięć miałem zawsze dobrą. Niech pan zgadnie, ile czasu uczyłem się Cymbelina. W cztery dni umiałem połowę. Ale choćbym się i dwadzieścia lat uczył, nigdybym nie powiedział tak, jak pan, z takim wczuciem się w sytuację, w nastrój, w epokę, z takim gestem, z taką subtelnością... Niech mi pan powie. Nie zdążyłem o tym porozmawiać z panem w wagonie. Jak pan doszedł do takiej klasy, do perfekcji gry aktorskiej? Jak pan zdobywał te szczyty? Ja, myślę, osobiście, że dzięki przeżywaniu każdej roli. Przecież pan rzeczywiście cierpiał, grając Fausta, czy Księcia Niezłomnego. Prawda, że pan to wszystko przeżywa? To się wszak widzi i czuje. Albo jako Rodryg w „Czerwonym gaju", czy pan nie odczuwa rozpaczy z racji konieczności rozstania się z Elżbietą. Czy nie tęskni pan do niej rzeczywiście, lub jako Otello...

— Nie! — przerwał mu nagle Zbigniew. — Muszę panu powiedzieć, że nic, nic nie czuję. Nie cierpię, nie tęsknię, nie kocham, nie umieram, nie walczę na scenie. Nie lubię teatru. Rozumie pan? Nie cierpię tej budy, w której trzeba robić głupie miny! Gram, bo mi płacą. Bo forsa, bo pieniądze, bo trzeba żyć!... Żreć trzeba, pojmuje pan, żreć i chlać wódę! Jakby pan zobaczył, że Elwira nie wiele różni się od ulicznej prostytutki, król Lear jest starym pijakiem, a Wilhelm Tell jest notorycznym

Maciej Józef Kononowicz

Ballady i romanse

(Na rok Mickiewiczowski)

Krystynie

U stóp sitowie — i plusk — i fala
Brzeg się przybliża — brzeg się oddala —
Srebrne rozbłyski na rybich łuskach —
I wiatr diamentem tnie cię po ustach.

Noc się przechyla — noc się kołysze —
Jezioro chwyta gwiazdy na kliszę —
Książe romansów — książe ballady
Mosiądzem dźwięczy — mosiądzem parzy.

Gwiazdy nad tobą — gwiazdy pod tobą —
A jeśli która spada nad wodą —
Z dna strzela bliźnia — w srebrnym trzepocie
Łączą się obie w miłosnym splocie.

Nie patrz zbyt długo — nie sięgaj do dna—
Oczy ci zwiąże Dziewczyna Wodna:
Świtu co zajmie zakos Świtezi
Nie zdołasz dożyć — nie zdołasz przeżyć.

U stóp sitowie — i plusk — i fala —
Brzeg się odchyla — brzeg się oddala.
Noc balladowa... — Czy się nie lękasz
Że — nie widziawszy nigdy — pamiętasz:
gwiazdy nad sobą —
gwiazdy pod sobą —
i srebrny rozbłysk łuski nad wodą
i księżycowy mosiądz na brzózkach
i wiatr co tnie ci diamentem usta
i krąg za kręgiem — a każdy szerszy...
...Krysiu — usnęłaś nad tomem wierszy...

2.VII.49.

Bez szminki

(dokończenie ze str. 5)

narkomanem, nie mówiąc już o innych, to by się panu też odechciało teatru. Zagłuszyłby pan swoje wyrzuty sumienia. Mówię to panu pierwszemu. Wszystkie moje wywiady do pism i wzniosłe zdania o teatrze, to bujda. Zwyczajna bujda! Robiłem sobie reklamę. Proste? Nie znoszę sztuki aktorskiej w jej dzisiejszym wydaniu. Do tego trzeba podchodzić z czystymi rękami. A kto je ma? Kto?! Niech mi pan pokaże! No, niech mi pan pokaże!!!

Wojko oniemiał. Przystanął i poruszył ustami, jak ryba rzucona na piasek. Oczy rozszerzyły mu się niepomiernie, a potem zaczął szybko mrugać i potrząsać głową.

— To niemożliwe — szeptał — ...niemożliwe... Jakto?... Pan... pan żartuje.

— Nie żartuję — przerwał mu Zbigniew. — Wszystkie moje role obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Tyle aby się nauczyć. Reszta sama wychodzi. Samo się robi. A przecież, od czego jest reżyser? Ja nie żyję teatrem. Więcej niż teatrem żyję kartami, więcej niż kartami kobietami, a więcej niż kobietami wódką. Teatr, to dojna krowa. Nic więcej. Dla mnie to tylko dojna krowa. Aby forsa, aby forsa! Tak — wołał w podnieceniu — tylko tacy naiwniaczkowie, jak pan, mogą sądzić, że tam jest coś więcej, pod skorupą, pod tą politurą genialności Szekspira, Goethego, czy Calderona. Panie, tam jest nędza! Trzeba wejść za kulisy, żeby to zobaczyć. Nędza, rozumie pan!

— Mój Boże — jęknął Wojko — mój Boże. W tej chwili przychodzą mi, proszę pana, na myśl słowa Anny. Ona mówiła: „Wujku, a ja czuję, że w Trampiszu jest wielka pustka, że jego sztuka, to jak balonik. Nakłuć w jednym miejscu i...

— Kto panu to mówił? — poderwał się Zbigniew.

— Ach, moja siostrzenica, Anna Danielska. Pan jej nie może znać, bo ona dopiero nie dawno przyjechała na stałe do Warszawy. Bardzo się dziewczyna interesuje teatrem, ale kiedy powiedziała mi, że pan jest automatem, który w rzeczywistości wyrugował wszystkie uczucia, mało jej nie zabiłem. Pokłóciliśmy się śmiertelnie. Stanąłem w pana obronie i powiedziałem, że jeśli tylko jeszcze raz poważy się...

— Tak — rzekł Zbigniew, patrząc przed siebie — to bardzo smutne, że ja jej j u ż nie mogę znać. Wie pan, że tę sztukę zaczynam naprawdę przeżywać.

— Nie rozumiem — odparł Wojko — jaką? „Czerwony gaj"?

— Dowidzenia — ukłonił się Zbigniew raptownie i skręcił w boczną uliczkę.

Wojko stał nieporuszony i wiódł wzrokiem za Trampiszem. Postać jego malała w perspektywie ulicy. Szedł z opuszczoną głową, nie śpiesząc się, jakby niósł jakiś ciężar. Na końcu ulicy palił się już kolorowy szyld, „BAR - ARKANZAS". Zbigniew doszedł do szyldu, pchnął drzwi i zniknął w wejściu.

Staruszek stał nadal, aż wreszcie wyszeptał:

— Geniusz, a jednak mimo wszystko geniusz. Ale co mi z tego — dodał po chwili. Zawrócił do przystanku autobusowego, który wyglądał jak słońce ustawione na czerwonej nodze.

— Geniusz — powtarzał — geniusz. Sam o tym nie wie. Mój Boże, jak to bardzo boli — mamrotał z cicha, ocierając ręką duże łzy wypływające mu uporczywie spod binokli.

Koniec.

Marek Antoni Wasilewski

FILM

DUBBING

Co ma robić realizator filmu jeżeli nakręca obraz którego jedna ze scen przedstawia — powiedzmy — czułą parę żegnającą się na lotnisku, na tle samolotu którego śmigła wirują i motor pracuje? Odgłos motoru zagłuszy niewątpliwie każdy inny dźwięk. Reżyser może wówczas — albo zrezygnować całkowicie z dialogu, albo zastosować jeden ze sposób, które umożliwia nowoczesna technika filmowa. Jednym z najbardziej przyjętych w tej chwili jest zastosowanie t. zw. projekcji tylnej — tło (samolot) jest tu fotografowane oddzielnie i gotowy, wywołany pozytyw wyświetlany w studio na specjalny, dający dużą jasność obrazu, ekran. Aparat wyświetlający umieszczony jest z tyłu ekranu — z przodu ustawiona jest kamera do zdjęć, pomiędzy kamerą i ekranem, na jego tle, para aktorów. W ten sposób osiągamy połączenie tła i postaci na pierwszym planie w warunkach (studio), które umożliwiają wydobycie wszelkich odcieni dialogu. Tło dźwiękowe (motor) nagrane na osobnej taśmie zostaje podłożone już w ostatecznym montażu dźwiękowym przez miksera. Projekcja tylna rozwinęła się bardzo po wojnie i zostały już poczynione próby (które wydały całkowicie dodatnie rezultaty) nakręcania przy tej pomocy już nie tylko poszczególnych scen, ale nawet i całych filmów. Jest to technika skomplikowana i wymagająca bardzo dokładnych wstępnych obliczeń i szczegółowego planowania ustawień aktorów (zagadnienie perspektywy — wzajemnych proporcji itp.) na podstawie których dokonuje się zdjęć w plenerze i buduje dekoracje. Pozwala ona jednak na bardzo poważne obniżenie kosztów i elastyczność w pracy (odpada konieczność wożenia całej ekipy w teren).

W projekcji tylnej mamy do czynienia z rozdzieleniem samego obrazu. Drugim sposobem jest zrezygnowanie z jednoczesnego nakręcania dwóch elementów: obrazu i dźwięku. Aktorzy, ustawieni na tle pleneru, są jedynie fotografowani — wypowiadane przez nich słowa nie są nagrywane. W studio aktor który nakręcał tę scenę obserwując ją wyświetlaną na ekranie wypowiada do mikrofonu te same słowa, które mówił na plenerze. Jedyną trudnością jest tu tylko synchronizacja słów z ruchami warg. Metoda ta nazywana postsynchronizacją ma szerokie zastosowanie również w filmach dokumentarnych, tam gdzie zachodzi potrzeba operowania możliwie lekkim i małym zespołem o dużej ekonomii pracy (aparatura dźwiękowa jest bardzo nieporęczna, trudna do transportu i ulega łatwo uszkodzeniom). Najczęściej również w filmach dokumentarnych spotykamy się z posunięciem się o krok naprzód w jej wykorzystaniu i przeprowadzeniem przy jej pomocy rozdzielenia aktora i głosu. Jeżeli — na przykład — zależy nam na autentyczności postaci, a głos jej nie jest „mikrofoniczny", czy też dykcja pozostawia wiele do życzenia, bądź też, po prostu pod wpływem podniecenia wywołanego filmowaniem, zaczyna grać i traci naturalność, wówczas pozostawiamy obraz oryginalny, a słowa zostają nagrane przez kogo innego (najczęściej przez zawodowego aktora). Przy pomocy tej metody został nakręcony film angielski o bitwie pod Arnheim.

Ten rodzaj postsynchronizacji cechuje oryginalność języka i (niemal całkowita) wierność słów. Z całkowicie specyficznym wykorzystaniem postsynchronizacji spotykamy się tam, gdzie zachodzi konieczność nałożenia dialogu w innym języku. Dubbing (znów quasi-polska nazwa — niestety film wciąż jeszcze nie ma ustalonego polskiego słownictwa) stanowi zagadnienie znacznie bardziej skomplikowane. W studio w Łodzi zostały podjęte próby polskiego dubbingu i w najbliższym czasie wejdą na ekrany pierwsze, opracowane, już filmy.

Przed przystąpieniem do pracy tłumacz przygotowuje tłumaczenie „brulionowe". Gdy jest ono gotowe zespół w składzie: reżyser (który sprawdza czy tłumaczenie umożliwia odpowiednią interpretację), redaktor tekstu i jego pomocnik, przystępują do pracy w studio. Cały film podzielony jest na krótkie odcinki (odpowiadające mniejwięcej jednej stronie maszynopisu dialogu) — t. zw. sklejki względnie kółka (bo oba ich końce są połączone i tworząc koło umożliwiają bezustanne przewijanie odcinka przez projektor). Podczas wielokrotnego wyświetlania wciąż tej samej sklejki zespół redakcyjny słuchając wersji oryginalnej i obserwując na ekranie ruchy warg aktorów sprawdza wierność tłumaczenia, poprawność stylistyczną, zgodność ilości sylab, akcentów w słowie i zdaniu (jak również i melodii zdań), stwierdza czy w tekście polskim samogłoski (które dają bardzo wyraźne ruchy warg) występują w tych samych miejscach co w oryginale itp. Bez uzgodnienia tych kłopotliwych ale istotnych w dubbingu elementów technicznych dialog nakładany nie pokryje się z pierwotnym i nie zostanie osiągnięte złudzenie oryginału. Najistotniejsza jednak w dubbingu nie jest trudność samego rozmieszczenia akcentów, czy samogłosek, ale oddanie w tym samym czasie tych samych pojęć. Tłumacz spotyka się z trudnością nie tylko znalezienia odpowiednika polskiego, ale na przeszkodzie stoi również brak zwięzłości charakterystyczny dla języka polskiego, często powodujący konieczność omówień, czy wręcz — w braku miejsca — rezygnacji. (Trudność ta w odwrotnym wypadku jest o tyle mniej dokuczliwa, że daleko łatwiej jest dodać nic nie znaczącą sylabę czy wyraz). Przy ostatecznym ustalaniu tekstu pomocnik redaktora czyta na głos dialog polski sprawdzając synchronizację tłumaczenia z oryginałem. Tekst przechodzi teraz do aktora, który znów słuchając i patrząc na przewijającą się na ekranie sklejkę stara się zapamiętać sposób interpretacji roli w oryginale. Gdy już „zsynchronizował" obie interpretacje — swoją i oryginalną — następuje nagranie. (Po otrzymaniu tekstu przez aktora mają czasem jeszcze miejsce drobne poprawki spowodowane koniecznością dostosowania tekstu do jego indywidualności).

Taśma z nagranym dźwiękiem przechodzi po wywołaniu do montażu. Tu następuje końcowe uzgodnienie dźwięku z obrazem. Nie zawsze udaje się aktorowi wypowiedzieć słowo jednocześnie z ruchem warg postaci na ekranie. Dla osiągnięcia pełnej synchronizacji montażysta usuwa zbędne odcinki taśmy dźwiękowej lub też wkleja wkładki powodujące powstawanie pauz. (Wkładek takich może być w całym filmie kilka tysięcy.) Trzeba wspomnieć, że doświadczeni montażyści potrafią rozumieć dialog bez pomocy aparatury odtwarzającej — odczytują oni fotografię fal dźwiękowych. Do sprawdzenia montażu służy muviola — aparat w którym obydwie taśmy przebiegają z identyczną szybkością. Głos jest tu odtwarzany przez mały głośnik, a obraz widoczny przez silne szkło powiększające. Po wyjściu z montażu przeprowadzana jest ostateczna kontrola synchronizacji — obydwie taśmy wyświetlane są na ekranie przy pomocy normalnego projektora (posiadającego zamiast dwóch — cztery bębny pozwalające na nałożenie na siebie i jednoczesne przewijanie dwóch filmów). Jeżeli kontrola da wynik dodatni dubbingowanie jest zakończone. Pozostaje tylko zmiksowanie dialogu z resztą efektów dźwiękowych i wykonanie normalnych kopii pozytywowych.

Dubbing jest metodą bardzo popularną w wielu krajach (np. Francja, Włochy*) i można tam się spotkać z paradoksalną zdawałoby się sytuacją niemożności zobaczenia filmu w jego wersji oryginalnej.

Zagadnienie dubbingu to zagadnienie pokonania poważnych trudności językowych, uwielokrotnionych przez fakt istnienia niewzruszalnych warunków technicznych, i stworzenia tłumaczenia oddającego wiernie cechy oryginału, a następnie uzyskania równie wiernej interpretacji aktorskiej. (Dla części widzów nie bez znaczenia będzie fakt pozbawienia ich kontaktu z językiem oryginału — film może być dla nich przecież jedyną możliwością zetknięcia się z żywym językiem.)

Dubbing powodując utratę oryginalnego dialogu, interpretacji aktorskiej i języka, otwiera przez to możliwości dla poważnych odchyleń zamierzonych, bądź mimowolnych — wzamian przynosi łatwą „czytelność" filmu, staje się on zrozumiały dla wszystkich widzów. Jakie „pro" i „contra" przemawiają za czy przeciw, przyjętej dotychczas na naszych ekranach metodzie napisów? Pozostawia ona wersję oryginalną. Ze stanowiska jednak publiczności, nie znającej języka oryginału wcale, lub znającej słabo, ma ona poważne wady. Pomijam już samo zagadnienie konieczności odczytywania napisów (trudność odczytania i odwrócenie uwagi od obrazu). Ze względu na czytelność przyjęte jest, że na 1 metr taśmy nie może przypadać więcej niż 6 sylab w napisie (a cały napis nie może zawierać naraz więcej niż 24 sylaby). Wyświetlanie metra taśmy trwa ok. 2,2 sek. Jasne jest, że w filmach o obfitym dialogu (a jest to cechą przerażającej części dzisiejszej produkcji) musi nastąpić znaczne kondensowanie treści (czy nawet pomijanie) aż do podawania już nie tłumaczeń ale streszczeń.

Wydaje mi się, że — pomijając względy lingwistyczne — umożliwienie widzowi zrozumienia filmu jest faktem, który przemawia za dubbingiem filmów jako zasadą. Jest to jedno z podstawowych zagadnień upowszechnienia filmu. Powstaje tu jednak pytanie, czy obrazy stanowiące wybitne osiągnięcia sztuki filmowej, mogą podlegać przeróbce (jaką jest niewątpliwie dubbing), czy dubbing nie zmieni ich jakichś istotnych cech, nie zuboży o jakieś podstawowe wartości.

Wydaje mi się, że obrazy stanowiące istotnie sztukę filmową, nie zalane potokiem dialogu, takie w których słowo nie wysuwa się na pierwszy plan, lecz dominuje obraz, filmy które przez swoją konstrukcję dramatyczną i wymowę wizji plastycznej są zrozumiałe bez znajomości języka, nie wymagają totalnej ingerencji dubbingu.

Przesądzanie tych spraw w obecnym momencie, w chwili gdy problem ten jest dla nas jeszcze problemem teoretycznym, byłoby nieostrożne. Świeżo wybudowane, nowe studio w Łodzi może opracować 12 filmów rocznie. Wejście ich na ekrany wykaże w praktyce walory dubbingu i umożliwi zaznajomienie z cechami dubbingu polskiego.

Leszcz.

PS. Sezon ogórkowy trwa. Wydaje się, że Dyrekcja programowa Filmu Polskiego jest na urlopie. — Bo i jakież inne wytłumaczenie można znaleźć dla faktu, że — do chwili oddania materiału do druku — dwa kina stolicy od dwóch prawie miesięcy (Stylowy od 18 maja, Stolica o 23 maja) zakorkowane są przez filmy, których poziom— pozwalam sobie sądzić — w niczym nie usprawiedliwia faktu blokowania nimi ekranów, cierpiącej na głód kin i wiecznie niesytej filmów, Warszawy. Wydaje się to tym dziwniejsze, że o jednym z nich („Paganini") sam „Film" wyraził swą oficjalną — niedwuznacznie nieprzychylną, trzeba stwierdzić — opinię. Czy naprawdę dla stolicy nie mogą się znaleźć inne filmy — być może nie arcydzieła — ale obrazy wartościowe i ciekawe, których pokazanie byłoby w pełni umotywowane?

*) Jako ciekawostka — m. in. we Włoszech był dubbingowany polski „Znachor".

Instytut Katolicki we Wrocławiu

przyjmuje **wpisy** młodzieży żeńskiej na studia wyższe i średnie:

1) po licealnej maturze na WYDZIAŁ KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ — studium trwa 4 lata.

2) po ukończeniu wyższych studiów na WYDZIAŁ KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ — celem uzupełnienia studiów.

3) po 7 klasach szkoły podstawowej do STUDIUM KATECHETYCZNO-WYCHOWAWCZEGO — studium trwa 5 lat,

4) po tak zw. małej maturze do STUDIUM KATECHETYCZNO-WYCHOWAWCZEGO — nauka trwa 3 lata.

Bliższych informacji udziela i wpisy przyjmuje

SEKRETARIAT INSTYTUTU KATOLICKIEGO,
WROCŁAW 8
Al. J. Kasprowicza 26/28.

TYDZIEŃ KULTURALNY

PODPISANIE PLANU WSPÓŁPRACY KULTURALNEJ POLSKO - BUŁGARSKIEJ NA OKRES 1949/1950

W dniu 8 lipca br. zakończyły się obrady polsko - bułgarskiej Komisji Mieszanej dla realizacji Umowy o Współpracy Kulturalnej.

Komisji przewodniczył wicemin. Aleksander Obretenow.

Komisja przyjęła sprawozdanie z wykonania planu współpracy za rok 1948/49, stwierdzając, że realizacja planu odbywa się w warunkach przyjaźni i wzajemnego zaufania.

W wyniku wspólnych obrad uchwalono plan współpracy na rok 1950. Nowy plan przewiduje znaczne rozszerzenie dotychczasowej współpracy. Dotyczy to przede wszystkim upowszechnienia dorobku kulturalnego obu krajów wśród najszerszych mas. Uchwalono utworzenie lektoratów polskiego i bułgarskiego. Podwyższono ilość studentów - stypendystów w obu krajach. Uchwalono coroczne przyznawanie nagród literackich za najlepsze tłumaczenie dzieł polskich i bułgarskich. W okresie przewidzianym planem oba kraje wymienią delegacje pisarzy, naukowców, artystów, działaczy kulturalnych i związkowych itd.

NAGRODA LITERACKA M. ST. WARSZAWY

JURY nagród artystycznych m. st. Warszawy na posiedzeniu w dn. 7 bm. przyznało nagrodę literacką m. st. Warszawy w wysokości 200 tys. zł znanej pisarce Poli Gojawiczyńskiej.

W posiedzeniu, któremu przewodniczył wiceprzewodniczący Stołecznej Rady Narodowej Z. Dworakowski, wzięli udział przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki — nacz. Wilczek, Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich — J. Iwaszkiewicz, Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich — K. Brandys, Uniwersytetu Warszawskiego i Tow. Naukowego Warszawskiego — prof. J. Krzyżanowski, Rady Zw. Zaw. — Ornoch oraz Wydz. Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego — nacz. M. Rörichowa.

Nagroda literacka m. st. Warszawy została przyznana Poli Gojawiczyńskiej za całokształt twórczości literackiej, związanej bezpośrednio z życiem walczącej i pracującej Warszawy.

NAGRODA M. ST. WARSZAWY ZA TWÓRCZOŚĆ DLA DZIECI

JURY nagród artystycznych m. st. Warszawy na posiedzeniu w dn. 12 bm. przyznało nagrodę m. st. Warszawy za twórczość dla dzieci, w wysokości 120 tys. zł znanej literatce i publicystce Janinie Broniewskiej.

W posiedzeniu, któremu przewodniczył wiceprzewodniczący Stołecznej Rady Narodowej Z. Dworakowski, wzięli udział przedstawiciele: Min. Oświaty — St. Balicki, Min. Kult. i Sztuki — Banaszkiewicz, Zarz. Gł. Zw. Literatów Polskich — L. Lewin, Oddz. Warsz. Zw. Literatów Polskich — A. Maliszewski, Rady Zw. Artyst. — W. Tatarkiewicz - Małkowska, TPD — M. Czarkiewicz, ZNP — Z. Przyrowski oraz Wydz. Kult. i Szt. Zarz. Miejskiego — M. Röriehowa.

Nagroda została przyznana Janinie Broniewskiej za artystyczną twórczość dla dzieci, związaną z Warszawą i utrzymaną w duchu ideologii socjalizmu.

WYSTAWA WSPÓŁCZESNEGO MALARSTWA POLSKIEGO W SOPOCIE

W pierwszym miesiącu trwania Festiwalu Plastyki, wystawy zwiedziło około 120 wycieczek z całego kraju. Dotychczas ogólna liczba zwiedzających dochodzi do 8.000 osób, co w porównaniu z ubiegłym rokiem stanowi poważny wzrost zainteresowania sztukami plastycznymi. Należy przypuszczać, iż dalszy wzrost frekwencji nastąpi w ciągu lipca i sierpnia w związku ze zwiększonym napływem wczasowiczów.

Na 16 lipca przewidziane jest w Sopocie otwarcie wystawy współczesnego malarstwa polskiego. Na wystawę tę napływają już eksponaty artystów - malarzy z całego kraju. M. in. nadesłali swe prace Cybis, Fedkowicz i Pronaszko.

BILANS SEZONU FILHARMONII STOŁECZNEJ

W ciągu zakończonego niedawno sezonu, Filharmonia Stołeczna urządziła ogółem 66 koncertów symfonicznych, w tej liczbie 28 poranków niedzielnych. Wykonano na nich łącznie 213 utworów, w tej liczbie 78 utworów kompozytorów polskich, zarówno dawnych, jak i współczesnych.

Obok stałych dyrygentów Filharmonii Stołecznej: Z. Latoszewskiego i M. Mierzejewskiego wystąpiło w niej 12 dyrygentów krajowych oraz 8 kapelmistrzów zagranicznych.

W koncertach wystąpiło 41 solistów krajowych oraz 16 zagranicznych, w tej liczbie ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier, Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i in.

W koncertach oratoryjnych wystąpiły chóry: Harcerstwa Polskiego, Konserwatorium Warszawskiego oraz Filharmonii Krakowskiej.

Frekwencja w ubiegłym sezonie wyniosła 47.164 osoby. Z liczby tej 16.890 osób skorzystało z biletów ulgowych i darmowych.

NAGRODY WOJEW. RADY NARODOWEJ W LUBLINIE

Prezydium Wojew. Rady Narodowej w Lublinie przyznało doroczne nagrody pieniężne za najlepsze osiągnięcia w dziedzinie nauki i sztuki.

Nagrodę naukową lubelskiej WRN otrzymał profesor UMCS dr Ludwik Fleck.

Nagrodę literacką przyznano znanemu poecie i tłumaczowi literatur narodów słowiańskich, Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu.

Nagrodę w dziedzinie teatru przyznano reżyserce Teatru Miejskiego w Lublinie, Zofii Modrzejewskiej.

W KILKU SŁOWACH

W trzecim i ostatnim dniu zjazdu delegatów Zw. Polskich Artystów Plastyków dokonano wyboru nowych władz związkowych.

W skład Prezydium weszli: Juliusz Krajewski — przewodniczący, Nita, Boruciński i Strynkiewicz — jako wiceprzewodniczący, będzie Arthur Hedley, z Austrii — Michalski i Mierzkowski — sekretarze, Poznański — skarbnik, Borelówna — zastępca skarbnika oraz jako członek Zarządu — Ignacy Witz.

***

W dn. 30 czerwca br. przybył do Warszawy jeden z najwybitniejszych pianistów radzieckich, Jakub ŻAK, laureat Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w 1937 r., prof. Konserwatorium w Moskwie.

***

W auli Collegium Maximum Uniwersytetu Mikołaja KOPERNIKA w Toruniu odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów magisterskich absolwentom wydziału prawno - ekonomicznego — pierwszym wychowankom Uniwersytetu.

***

W dniu 3 lipca rb. w Teatrze Kameralnym odbył się egzamin publiczny absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej.

Uroczystości Chopinowskie

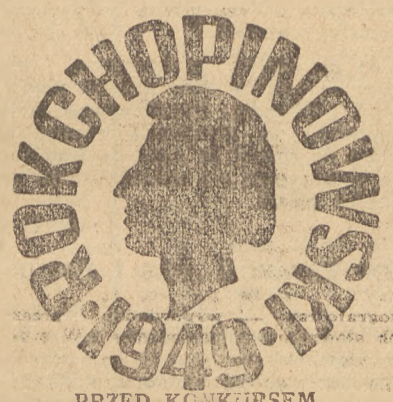

PRZED KONKURSEM CHOPINOWSKIM

ODBYŁO się ostatnio w lokalu Biura Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego w Warszawie posiedzenie grupy polskich jurorów, którzy wejdą w skład jury IV Międzynarodowego Konkursu im. Chopina w Warszawie. Obradom przewodniczył prof. Zbigniew Drzewiecki, powołany przez Prezydium Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego na stanowisko przewodniczącego jury Konkursu. Obowiązki sekretarza jury objął prof. Bolesław Woytowicz.

Jury polskie, powołane przez Prezydium Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego, posiada skład następujący: rektor Zbigniew Drzewiecki — przewodniczący; prof. Bolesław Woytowicz — sekretarz; członkowie: prof. Jan Ekier, prof. Jan Hoffman, prof. Henryk Sztompka, prof. Stanisław Szpinalski, dyr. Roman Jasiński, prof. Jerzy Zurawlew — inicjator konkursów im. Chopina.

Poza tym Prezydium Komitetu w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki, mianowało dyr. Witolda Rudzińskiego — komisarzem Konkursu. Prof. Jerzego Lefelda mianowano mężem zaufania pomiędzy jury a kandydatami, oraz dyr. Janusza Urbańskiego — przedstawicielem Ministerstwa Kultury i Sztuki przy jury.

ZAGRANICZNI CZŁONKOWIE JURY KONKURSU

NA zaproszenie Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego w skład jury IV Międzynarodowego Konkursu im. Chopina wejdą wybitni przedstawiciele pedagogiki i sztuki pianistycznej z zagranicy. Ze Związku Radzieckiego przyjadą dwaj byli uczestnicy i laureaci poprzednich konkursów: prof. Lew Oborin i prof. Paweł Sieriebriakow. Z Anglii przybędzie Arthur Hedley, z Austrii — Josef Marx, z Brazylii — Magdalena Tagliafero, z Bułgarii — Dymitr Nenow, z Czechosłowacji — Frantisek Maxian, z Francji — Margueritte Long i ew. Lazar Levy, z Holandii — Sem Dresden, z Meksyku — Blas Galindo, z Rumunii — Alfred Mendelsohn, ze Szwajcarii — Franz Josef Hirt, ze Szwecji — Goottrid Boon, z Włoch — Carlo Zecchi, z Węgier — Hernandi Lajos.

NAGRODY KONKURSOWE IM. CHOPINA

DLA zwycięzców w Konkursie przewidziane są następujące nagrody:

Prezydenta RP — 500 tys. zł.

Prezesa Rady Ministrów — 400 tys. zł

Ministerstwa Kultury i Sztuki — 300 tys. zł,

Ministerstwa Spraw Zagranicznych — 300 tys. zł,

Prezydenta m. st. Warszawy — 250 tys. zł. oraz

nagroda Polskiego Radia, przyznawana tradycyjnie na wszystkich poprzednich konkursach chopinowskich za najlepsze wykonanie mazurków.

Wysunięto także projekt aby szereg najpoważniejszych organizacji i instytucji artystycznych, społecznych, prasowych ufundowało dalsze nagrody dla laureatów Konkursu, podobnie jak Polskie Radio, za najlepsze wykonanie danego utworu.

ELIMINACJE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

SPRAWĘ eliminacji najlepszych wykonawców muzyki Chopina na konkurs warszawski rozwiązano w Związku Radzieckim w ten sposób, że najpierw odbyły się konkursy eliminacyjne w poszczególnych konserwatoriach. W przodującym Konserwatorium Moskiewskim w skład jury weszli najwybitniejsi pedagodzy, profesorowie: Neuhaus, Oborin, Goldenweiser, Flier, Sofronicki, Ginzburg.

Jury przewodniczył dziekan wydziału pianistyki, zwycięzca III Konkursu Chopinowskiego w 1937 r., prof. Jakub Żak.

Spośród 26 osób zakwalifikowano 11 na Wszechzwiązkowy Konkurs Eliminacyjny. Odbył się on w dniach 27 ub. m. — 2 bm. w Moskwie. Stanęło do niego ogółem 52 pianistów i pianistek. Przybyli przedstawiciele sztuki muzycznej Ukrainy, Azerbejdżanu, Gruzji i innych republik radzieckich.

Konkurs wykazał wysoki poziom wykonawczy muzyki Chopina. Wyróżnieni w nim pianiści staną do zaszczytnej rozgrywki w Warszawie. Nie zabraknie zapewne wśród nich takich wybitnych artystów, jak znany już dobrze w ZSRR z estrady Wiktor Mierżanow, czy też stawiający dopiero pierwsze kroki wirtuoza-chopinisty Stanisław Neuhaus, syn i uczeń znakomitego pedagoga i prof. Moskiewskiego Konserwatorium Neuhausa, jak wiadomo — kuzyna Karola Szymanowskiego.

KOMITET CHOPINOWSKI W NIEMCZECH

WŚRÓD wielu krajów, w których działają już komitety chopinowskie, znajdują się i Niemcy. „Chopin-Komitee" posiada swą siedzibę w Berlinie. Wśród członków prezydium Komitetu Honorowego spotykamy takie nazwiska, jak: dyrygenta Otto Klemperera; znakomitego pisarza Arnolda Zweiga; filozofa prof. dra Edwarda Sprangera; artysty-malarza prof. Otto Dixa i in.

W Komitecie Wykonawczym zasiadają m. in.: kompozytor Hans Eisler i prof. Niemann; pianiści Erdmann, Hansen, Pozniak; muzykolodzy dr Bessler i prof. Meyer; dyrygenci Hollreiser i Jochum; pisarze Bert Brecht i Berhard Kellermann. A dalej — malarze, architekci, uczeni, działacze na polu muzyki, dyrektorzy teatrów muzycznych, radia, filharmonii, śpiewacy, tancerze.

Zakres prac „Chopin-Komitee" jest obszerny. Obejmuje on m. in.: 1) przygotowanie niemieckiej ekipy pianistycznej na konkurs w Warszawie, 2) wydanie prac muzykologów niemieckich na tematy życia i twórczości Chopina, w tym nowe zbiorowe wydanie dzieł Chopina, 3) koncerty i odczyty o Chopinie najwybitniejszych pianistów i muzykologów niemieckich i zagranicznych, 4) cykl koncertów „Żywego Wydania Dzieł Chopina".

Wyrazem działalności „Chopin-Komitee" był m. in. cykl koncertów w Niemczech naszego młodego pianisty Szymonowicza.

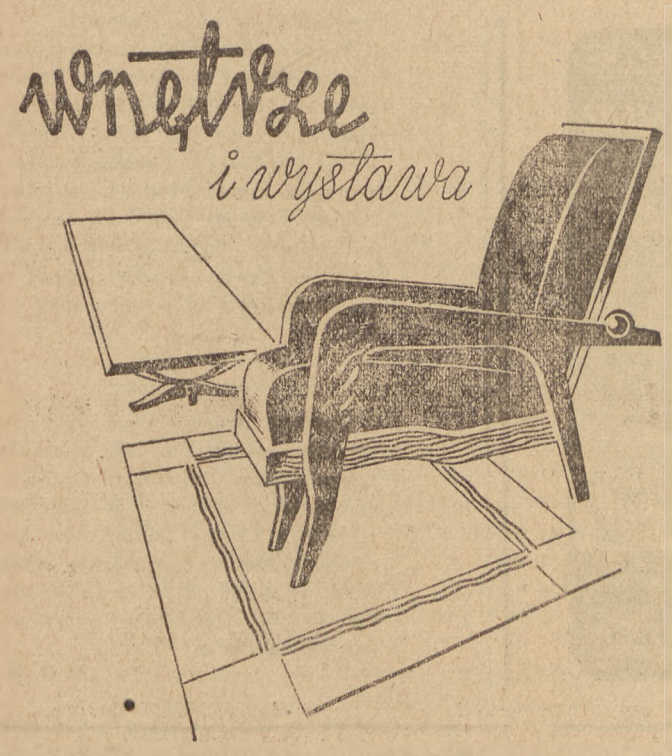

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Kisielewski jako taki, a jak nie taki, to jaki i dlaczego

W nrze 28 „Dziś i Jutro" z dn. 17.VII 1949 r. zamieszczony został list p. Kisielewskiego pełen mniej lub więcej dowcipnych dygresji skierowanych pod moim adresem.

Zaraz na początku wzmiankowanego listu p. Kisielewski przyznaje się do dobrej ze mną znajomości. Zacząłem natychmiast zastanawiać się, kiedy i gdzie autor mnie tak dobrze poznał. Bo, że w ogóle mnie zna, to fakt, lecz, że jestem mu dobrze znany, tego dotychczas nie wiedziałem.

Mimo wszystko postanowiłem pójść do p. Pyfello, jak mi doradzał p. Kisielewski w swoim liście — po „nowe" argumenty...

Musiałem się jednak chwilę zatrzymać w poczekalni, gdyż u „jasnowidza" ktoś właśnie przebywał.

I co się okazuje?

Z gabinetu „mistrza wiedzy tajemnej" wychodzi pan Kisielewski, który...

...Teraz już wiem, skąd jestem mu tak dobrze znany. Przejdźmy jednak do meritum zagadnienia.

Zarzuca mi autor listu, że nie zrozumiałem jego artykułu „Jak pojmuję liberalizm". Upodabnia się tu tym „niezrozumieniem" trochę do starej panny, wspominającej szereg adoratorów, którzy jej nigdy „nie rozumieli" i dlatego jakoby nie wyszła za mąż.

Tak też i p. Kisielewskiego nikt dotychczas nie może zrozumieć. Nie dokonał tego ani Koźniewski (do którego skierowany był artykuł), ani kiedyś tam Jakimiak ani inni — dlaczego niby ja miałbym być wyjątkiem.

Stwierdza więc p. Kisielewski, że nie sam liberalizm spowodował kapitalizm, a nieodpowiednie metody, jakimi się posługiwał liberalizm doktrynerski. Wobec tego pragnie on owe metody ulepszyć, zreformować i dlatego forsuje ingerencję państwa, któremu przeznacza rolę policjanta, zapominając, kto w państwie liberalnym wydaje policjantowi rozkazy.

Kryje on „swój" liberalizm za zasłoną reformistycznych metod. Co będzie, gdy zasłona opadnie? Ukaże się nam dobrze znany, drwiąco uśmiechający się kapitalizm — skutek owej ideologii i już w założeniu błędnego liberalnego systemu społeczno-gospodarczego.

Liberalizm, szermując hasłami wolności — bez względu na metody, prowadzi zawsze do jednego celu, który wspomagany egoizmem, zachłannością „silniejszych", osiągany jest z krzywdą tych „słabszych". Niestety nie żyjemy w społeczeństwie idealnych jednostek, które założenia liberalizmu realizować będą w myśl idealnych metod. Nic więc dziwnego, że szukać musimy nowych rozwiązań, oprzeć się na innych założeniach ideologicznych. Trzeba tak czy inaczej zrezygnować z cząstki swej źle pojętej wolności, by stać się wolnym wśród wolnych, by móc w nowych warunkach rozwijać pełnię swej osobowości.

Gdyby swoje poglądy p. Kisielewski głosił przed pół wiekiem, być może uważanoby go za postępowca, ale...

Pisałem już poprzednio (lecz niestety, mówiąc stylem pana Kisielewskiego — nie odniósł on z tego żadnej korzyści), że jeśli jest ktoś zwolennikiem liberalizmu, przyjmuje przez to wszystkie konsekwencje wynikłe ze stworzonego przez liberalizm systemu społeczno-gospodarczego. Konsekwencje te w postaci kapitalizmu są już nam znane. Jeśli natomiast zamierza się wprowadzić ingerencję państwa, ograniczyć ekonomiczną „swobodę" jednostki, tym samym przestaje się być liberałem i jest się już na najlepszej drodze do socjalizacji środków produkcji, do systemu, którego pan Kisielewski tak się obawia.

Trzecie wyjście, trzeci pogląd na budowanie podstaw gospodarczych naszego życia doprowadzić musi, albo do powrotnego kapitalizmu, spowodowanego przez jednostki silne ekonomicznie, albo do socjalizmu — a wtedy nie ma zupełnie sensu bawić się w nomenklaturę liberalizmu.

Usilnie stara się p. Kisielewski cofnąć jeszcze kartę historii, lecz ludzkość już zamknęła rozdział pt. „Liberalizm".

Nie pozostaje nic innego, jak zacząć czytać nowy rozdział.

Taka jest moja rada.

Jerzy Głownia

Ogłoszenie

NIŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE XX MISJONARZY ŚW. RODZINY
w Kruszewie pow. Czarnków Wlkp.
przyjmuje
pobożnych i zdolnych chłopców
do kl. X i XI st. lic. Cel: po święceniach kapłańskich praca misyjna i wychowawcza w kraju lub za granicą. Dla młodzieży uboższej przewidziane są daleko idące ulgi w opłatach.

„Radosna kultura"

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Czytając zamieszczony w „Kuźnicy" (nr 27 z dn. 10.VII 1949) artykuł Jadwigi Siekierskiej pt. „Z problemów ruchu kulturalno-oświatowego" spotkałem między innymi takie zdanie:

„...w teatrze amatorskim nadal kwitnie podejrzana „radosna twórczość", popisują się „dzikie zespoły", które nierzadko karmią widzów „Żywotem św. Genowefy" lub sztukami pornograficznymi i bezwartościowymi, jak „Kobieta, wino, dancing".

Jeśli autorka przez „radosną twórczość" rozumie niski poziom artystyczny i literacki tej czy innej sztuki — ha — kapituluję. Jeśli jednak rozumie przez to tylko przeciwny jej światopogląd — stawianie na równi ze sztukami pornograficznymi musi nas słusznie oburzyć.

W. Z.

Piszemy po polsku

Panie Redaktorze!

Chciałbym zwrócić uwagę na jedno z najpożyteczniejszych wydawnictw powojennych, jakim jest „Słownik poprawnej polszczyzny", Szobera, który winien znaleźć się w rękach wszystkich „parających się" pisaniem.

Trzeba bez osłonek stwierdzić, że prawie wszyscy piszemy i mówimy po polsku źle, popełniając wiele błędów gramatycznych i stylistycznych. Przede wszystkim jednak powinni zainteresować się w. w. wydawnictwem dziennikarze i publicyści. Istnieje bowiem pogląd w naszym społeczeństwie, że inteligencję czy wykształcenie mierzy się zasobem używanych słów obcych, nie mających niestety polskiego „obywatelstwa".

Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie zacytować... przepraszam, przytoczyć jedno tylko zdanie z artykułu znanego publicysty piszącego w „Dziś i Jutro". I tak:

„Druga pokusa to skłonność do absolutyzowania mitu postępu w jego interpetacji historycznej".

Panie Redaktorze — jestem przekonany, że wszyscy czytelnicy powyższe zdanie doskonale zrozumieli, ale to nie znaczy, że są w nim słowa, które śmiało można by zastąpić bardziej „swojskimi".

Ja nie jestem językoznawcą i nie mam zamiaru w tym miejscu poprawiać publicysty. Spostrzeżenia moje pozostały na marginesie rozmyślań, które doprowadziły mnie do wniosku, że powinienem się właśnie uczyć po polsku pisać!

W. C.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W nrze 222 „Przekroju" z dnia 10.VII 1949 r. zamieszczony został list p. Popiewskiej, w którym autorka stwierdza, że po ukończeniu Akademii Handlowej w Poznaniu bezskutecznie szukała posady, lecz niestety, nie może jej znaleźć ze względu na jedną „wielką wadę" — jest kobietą. Wszyscy kierownicy instytucji, do których zwracała się, odpowiadali, że potrzebują na stanowiska mężczyzn.

W konkluzji p. Popiewska dochodzi do wniosku: „Ale dla mnie wcale nie jest to naturalne, bo czemu na studiach wymagania były jednakowe i przygotowania jednakowe, a dopiero później stwierdza się wyższe uzdolnienie u mężczyzn".

Dziwny trochę wydaje się powyższy fakt, że w dzisiejszych czasach tkwią ludzie w „przesądach" o „wyższych" zdolnościach mężczyzn niż kobiet.

Dziś właściwie nie ma już sensu mówić o emancypacji kobiet — sprawa ta dawno przebrzmiała.

A jednak w mentalności niektórych panów rodzą się jeszcze wątpliwości, czy kobieta dorówna mężczyźnie.

Doświadczenia szeregu lat dowiodły, że tak jest. A panowie ci powinni dostrzec, co się wokół nich dzieje i zastanowić się nad swoimi „poglądami".

W przeciwnym razie trzeba będzie im to wytłumaczyć „dobitniej".

T. S.

„Fachowiec"

Panie Redaktorze!

Tak się „jakoś" dziwnie składa, że co pewien czas znajdują się ludzie, którzy uważają się za jedynych „fachowców" do mówienia lub pisania o literaturze. Tym razem uczynił to Mieczysław Jastruń w swojej „polemice" z „Tygodnikiem Powszechnym", którą zamieścił nr 27 „Kuźnicy".

Pisze on, że „z prof. Górskim nikt nie ma zamiaru dyskutować, argumentacja jego jest tak niezdolna, że budzić może jedynie litość".

A co p. Redaktor sądzi o tej argumentacji p. Jastrunia, który „nie ma zamiaru dyskutować".

Myślę, że podobnie jak i ja.

Co? Niech domyśli się p. Jastruń.

H. G.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W związku z artykułem polemicznym prof. Witolda Rybczyńskiego pt. „Refleksje na temat skali potrzeb", zamieszczonym w nrze 187 „Słowa Powszechnego" z dn. 13.VII br., wydaje mi się, że konieczne byłoby zwrócenie uwagi Czytelników „Dziś i Jutro" na powyższy artykuł.

Autor twierdzi: „...skala potrzeb rośnie znacznie wolniej od produkcji przedmiotów tych potrzeb" i na dowód pisze: „Przed wojną dzieci na Polesiu obdarowywane czekoladą wypluwały ją, ganiąc smak „czarnej gliny". Nie tylko nie odczuwały potrzeby czekolady, ale i przyjemności jej spożywania. Nowobogacki z obrzydzeniem spożywa ostrygi, a wyrostek dostaje torsji po wypaleniu pierwszego papierosa. „Potrzeby" nie weszły jeszcze w nałóg".

Wydaje się, że powyższe argumenty są raczej dowodem słuszności dowodzeń p. Jasienicy w „Skali potrzeb" („Słowo Powszechne"), że w wypadku upowszechnienia „cywilizacji" (jakbym ja to nazwał), apetyt wzrośnie wskutek rozszerzenia się skali potrzeb, które nie będą mogły być zaspokojone.

Argumenty prof. Rybczyńskiego dowodzą, że nieodczuwanie konieczności zaspokajania „wyższych" potrzeb, jest wynikiem jedynie niezdawania sobie sprawy o ich istnieniu. Z chwilą poznania — potrzeba ich zaspokojenia stanie się koniecznością i wtedy właśnie może zaistnieć fakt niemożności korzystania przez wszystkich zainteresowanych, ze względu na wolniejszy wzrost produkcji.

C. S.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ŚWIĘTY MIECZ

Powieść o świętym Pawle

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena 1200 zł.

Sprawozdanie z prasy katolickiej

(dokończenie ze str. 3)

Wydawać się może, kończy swój artykuł o. Flick, że doszliśmy do pochwały pesymizmu. Bynajmniej jednak tak nie jest. Stwierdzamy jedynie, że przyszłość nie została nam ujawnioną. Nie jest zadaniem chrześcijanina trwożliwie usiłować rozrywać zasłonę — zadaniem jego natomiast jest przyczyniać się stale do tego, aby teraźniejszość stała się płodną.

O. Scaduto omawia dzieło zbiorowe studiów gregoriańskich, wydanych przed dwoma laty pod kierunkiem ks. G. B. Bonino na uczczenie dziewięćsetletniej rocznicy dobrowolnego wygnania Hildebranta, towarzysza wygnanego Grzegorza VI-go (Studii Gregoriani per la Storia di Gregorio VII e della Riforma Gregoriana Raccolti da G. B. Bonino. Roma. Abbazia di S. Paolo. 1947. 2 v.).

Ks. Bonino od lat poświęcił się studiom nad życiem Grzegorza VII-go i reformą gregoriańską. Dwa tomy wydane w r. 1947 zawierają 49 monografii w 5-ciu różnych językach: 17 włoskich, 17 niemieckich, 9 francuskich, 5 angielskich i 1 hiszpańską.

W warunkach powojennych wydanie pracy w zespole międzynarodowym przedstawiało wiele trudności.

Do urzeczywistnienia zamiaru ks. Bonino przyczynił się w dużej mierze opat rzymskiej bazyliki św. Pawła za Murami, który wydaną pracę włączył w szereg inwestycji przeznaczonych na uczczenie tysiącpięćsetlecia św. Benedykta, którego papież Grzegorz VII był synem duchowym. Jednocześnie opat św. Pawła uczcił w papieżu swego poprzednika na wymienionym opactwie.

***

Pierwszy numer styczniowy zawiera również recenzję z książki marksistowskiego pisarza, Antoniego Grasci: Il materialismo storico e la filosofia di Benedetto Croce (Materializm historyczny a filozofia Benedykta Croce). Prace te pisane w więzieniu w latach 1925 — 1935 omawialiśmy w tym miejscu wiosną 1948 r.

K. O K.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m 17, tel. 880-71. Konto P.K.O Nr I-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 5.

B-80177